

# LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

# Kamena

LUBLIN 15.VIII.1966 Nr 15 (348) R. XXXIII

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

## NIEWOLNICE

**N**ALEŻY się wam wszystkim najlepsze: dom i miłość, i nauka, i praca. Każdemu człowiekowi to się należy. Po co więc zaprzętać sobie głowę tym, co każdy rozumie? A może nie każdy? Jak się tak dobrze porozglądać, to łatwo dojść do wniosku, że chyba nie każdy. Dlatego właśnie chcemy z wami porozmawiać o miłości i o pracy, o nauce i o domu. Nie dla samej pustej gadaniny, ale po to, żeby było jedno i drugie, i to i tamto.

Bo przecież w rzeczy samej wszystko to razem możecie mieć, więc wy pewnie nie chcecie niczego? Jakże to jest naprawdę? Odpowiedzcie szczerze, cygańskie kobiety!

Przykra jest — przyznaję bez przemyślenia tej prawdy — przykra więc jest świadomość, że wy same nie przeczytacie tych słów; obca wam jest najprostsza umiejętność składania czarnych znaków na papierze w zrozumiałe dźwięki. Do tego umiemyście zaledwie odczytywać znaki taborowe, drogowskazy jakiegoś nazywanego sferami. Lecz pomyślcie, cóż to są sfery? Wleciecie słomy, które wiatr może poszarpać albo i zgłodniałe bydło zjeść... Czyż nie tak jest? My już nie pytamy o drogi, jakie wskazywałyby wasze taboro-

we sfery. Pisała o nich Papiusza, którą wy wszyscy obłożyliście kłębami przy migotaniu leśnych ognisk. Sfery przez nią wskazywane były dobre, ale wyście o tym nie chcieli słyszeć. Papiusza pisała:

**ZDZISŁAW  
KAZIMIERCZUK**

*Jestem ja Cyganka biedna,  
Nie mam szczęścia, nie już nie mam.  
Nieszczęśliwe moje życie,  
Bo nie umiem dobrze czytać  
Ani ładnie pisać.*

Prawda, że to są słowa Papiuszy? Mądrej Cyganki. Dziś już co rozumniejszego z was pojmują, że sfery Papiuszy są trwalsze niż wiecheć słomy. Dobrze i to, że przynajmniej wasze dzieci chodzą do szkoły. Dlatego, choć wy same czytać nie umiecie, one pomogą nam się porozumieć, mamy nadzieję. Nie brońcie zatem dzieciom chodzić do szkoły, abyście nie musiały przez swój upór plakać później na stare, zgrzybiałe lata. Wszak tabor i las są już za

wami. Co prawda to prawda. Nikt nie zna sposobu, żeby zmusić słońce do wędrowki w odwrotnym kierunku. Skończoną pieśń też zazwyczaj się nie powtarza. Tym bardziej, jeśli pieśń na to nie zasługuje.

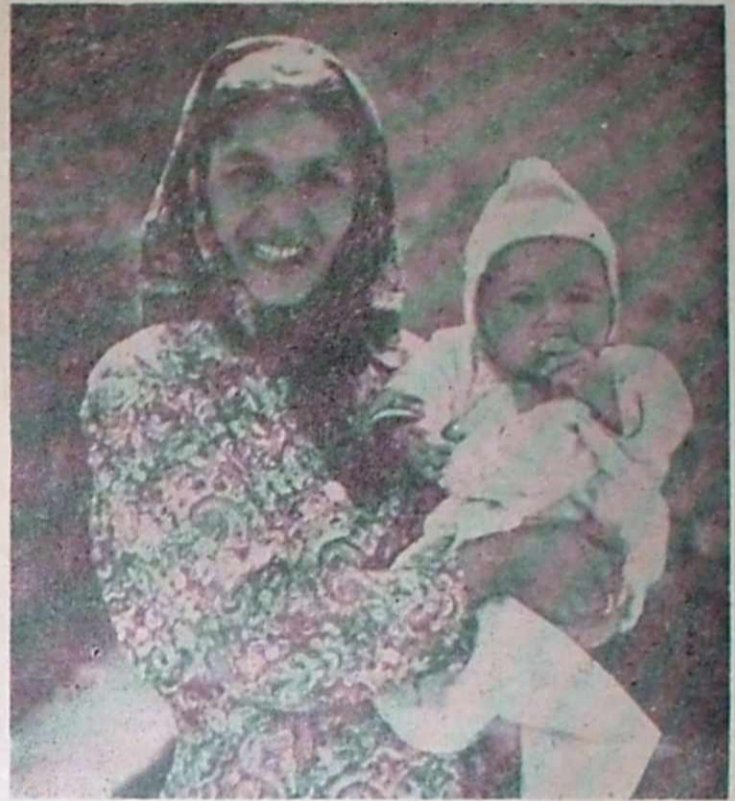
Taboru więc, jak powiedzieliśmy, nie będzie. Złe to czy dobrze? Oj, pewnie źle, skoro aż tyle lamentu słychać wokół opuszczonych wozów. Podnosi się lament, to chyba dobrze zrobimy, jeśli wysłuchamy, o co naprawdę chodzi? Może niesprawiedliwość jaka spadła na wasze głowy?

Poprosiliśmy Cygana, żeby mówił. To jest mądry Cygan, wcale nie jak tam oczajdusza. No i co on powiada? Dokładnie powiada tak oto:

— Dziś Cyganie pracują, ale na samo wspomnienie lasu, swego rodzinnego domu, serce przestaje bić w piersiach. Dopiero teraz zrozumieli, co znaczy las. Dziś mieszkają w nowych domach, dzieci chodzą do szkoły, ale mimo to przed nimi rośnie las, w którym wychowali się ich ojcowie i matki, w którym rodzili się oni...

Skrętnie zanotowaliśmy każde słowo Cygana. Ładnie to wszystko jest powiedziane, prawie jak w pieśni. Ale Cygan jeszcze nie skończył, bo dalej powiada tak:

(Dokończenie na str. 9)



Fot. A. Polakowski

TADEUSZ ŻOCHOWSKI

\* \* \*

*Pamięci Józefa Czechowicza*

Nie wiadomo dokąd szły drogi  
ani  
o czym gadały mosty pod kopytami  
wśląkały słowa w mgieł zamsz  
drogi szły szły nie wracały  
wśród dróg tych byłem sam  
jak opuszczony zamek  
drogi wlokły się koło mnie  
gadały mosty nade mną  
pyłem w okna sypały  
falowała jesiennego wieczoru  
ciemność

młodości struno milknąca  
nim umilkiesz na dobre  
może zdążyś  
supły dróg rozplątać?

Warszawa

WOJCIECH KAWIŃSKI

## Krajobrazy niepowrotne

Nie ma w nas obojętności pola  
tylko dźwięki opadłe  
z piór swoich

Nie ma wzroku  
lecz ciemne zachwycenie wiatrem słonym  
wciążym z odległości najcięższej

Troskliwe sny  
prowadzą nas w błękitne lasy  
między skały rzeźbione w żelazo  
nad zimne mechy  
skostniałe skóry ziemi

Tam oczekujemy  
na dźwięk  
który poniesie  
ofiarny ptak nieba  
wprost zestrzelony  
na samo dno powiek

Niepowrotność twarzy  
i głębokość utraconych źródeł  
pachną jak gęste wnętrza chleba

Dębica

Uwagi o turystyce

## DZIWNA KLASYFIKACJA I PEWNE ZARZĄDZENIE

JERZY DOSTATNI

**J**ESTEM Białorusinem i tkwię po uszy w środowisku białoruskim. Tu już jedno zasadnicze zastrzeżenie: środowiska białoruskiego nie należy mieszać ze środowiskiem Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, które jest małą — zresztą nie tylko ilościowo — częścią tego pierwszego. Co to są Białorusini? Po cyklu materiałów Jerzego Lovella w „Życiu Literackim” pod znamienym tytułem „Polska jakiej nie znamy”, odpowiedź na to pytanie jest chyba i ciekawa i ważna. Chodzi mi nie tylko o wiadomości encyklopedyczne, ale o odczucia, sięgające w głąb „duszy białoruskiej”, odczucia nie tylko moje. Odczucia te, przynajmniej jeżeli chodzi o Białostoczczyznę, można poukładać na trzech płaszczyznach: 1) kryteria białoruskości, 2) wyzycie się narodowe, 3) dalsze aspiracje narodowościowe.

Białoruska mniejszość narodowościowa zdecydowanie różni się — z wyjątkiem litewskiej — od innych mniejszości w Polsce. Różnica polega na tym, że mniejszość białoruska zamieszkuje określone terytorium zwarde i że język polski występuje tam w sposób dominujący w miastach, czasem w miasteczkach, natomiast na wsi jest go znacznie mniej. A więc mamy do czynienia z dość dużym, zwartym etnicznie spo-

**P**ODCZAS gdy miliony Polaków uprawiają turystykę w praktyce, tysiące nią administrują, a setki na jej temat piszą — myślę, że udało mi się zdobyć dwa dokumenty, które na to zagadnienie rzucają nowe, a dla wielu zupełnie niespodziewane światło.

Pierwszym z tych dokumentów jest wydana na powielaczku jeszcze w ub. roku broszura Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki pod tytułem „Wykaz i kwalifikacja miejscowości turystycznych w Polsce”. O tej broszurze slyszalem już kilka tygodni wcześniej z ust kierownika jednego z 8 przedsiębiorstw, zajmujących się turystyką w samym tylko Lublinie. Ale ten kierownik twierdził, że tej broszury nigdy w życiu nie widział i że — co najważniejsze — nie zna jej treści. Powiedział tylko, że rzekomo według jakiegoś zarządzenia

sam Lublin jest zaliczony do miejscowości turystycznych o znaczeniu międzynarodowym. A jeżeli tak — ciągnął — to taka sytuacja powinna nie tylko usprawiedliwiać, ale powodować szybkie uzupełnienie bazy turystycznej w tym mieście jako rezultat przyznania różnych inwestycji na zarządzie priorytetu.

Otóż broszura istnieje. Mam ją przed sobą i nie bez szacunku czytając wstępnie, że wykaz miejscowości został sporządzony na podstawie wielu skomplikowanych dokumentów i badań przez jednego doktora i troje magistrów. Otóż w całym kraju sklasyfikowano 768 miejscowości, biorąc pod uwagę ich wartości krajoznawcze i wypoczynkowe oraz ciężar gatunkowy zabytków. Podzielono więc te miejscowości na trzy kategorie „znaczeniowe”: międzynarodowe, ogólnokrajowe i regionalne. Jak się okazuje, najbogatsze jest województwo

(Dokończenie na str. 10)

Granicę białoruskiego żywiołu językowego sięgają starych grodów — Suraza nad Narwią i Drohicyna nad Bugiem. W rezultacie chodzi o powiaty dąbrowski, sokólski i hajnowski oraz część powiatów białostockiego, bielskiego i siemiatyckiego.

Trzeba jednak wyraźnie stwierdzić, że posługiwanie się ojczystym językiem białoruskim nie jest równoznaczne z istnieniem białoruskiej świadomości narodowej. Chodzi tu właśnie o kryterium: kto jest Białorusinem? To pytanie nie może być rozwiązane przez samą formę językową, która zapewne regulowała kolo-

nizację ruską w okresie zagospodarowywania puszczy, gdy na północ od tych ziem przestało istnieć groźne państwo plemienne Jaćwingów.

## BIAŁORUSINI na Białostoczczyźnie

SOKRAT IANOWICZ

Granicę białoruskiego żywiołu językowego sięgają starych grodów — Suraza nad Narwią i Drohicyna nad Bugiem. W rezultacie chodzi o powiaty dąbrowski, sokólski i hajnowski oraz część powiatów białostockiego, bielskiego i siemiatyckiego.

Trzeba jednak wyraźnie stwierdzić, że posługiwanie się ojczystym językiem białoruskim nie jest równoznaczne z istnieniem białoruskiej świadomości narodowej. Chodzi tu właśnie o kryterium: kto jest Białorusinem? To pytanie nie może być rozwiązane przez samą formę językową, która zapewne regulowała kolo-

(Dokończenie na str. 7)





**Z** PODRÓŻY do Azji południowo-wschodniej powrócił niedawno Artur Lundkvist, jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy szwedzkich. Na łamach liberalnego dziennika „DAGENS NYHETER” ukazał się jego artykuł pt. „Sprzeczności w Azji południowo-wschodniej”. Sądźmy, że uwagi autora zainteresują naszych czytelników.

Ryzykując posądzeniem o pewne uproszczenia — pisze A. Lundkvist — można stwierdzić, że Azja znajduje się dziś pod dominacją dwóch wielkich mocarstw — USA i Chin. Chiny reprezentują azjatycką ideę samostanowienia narodów, ich rewolucyjną dynamikę rozwoju. Stany Zjednoczone znalazły się w pozycji spadkobiercy dawnego imperializmu w Azji, który otrzymał śmiertelny cios, gdy załamały się japońskie dążenia do hegemonii w Azji. USA popełniły polityczny i psychologiczny błąd, usiłując przy użyciu siły utrzymać się w Azji po pokonaniu Japonii. Amerykanie nazwali zwykłą walkę o wpływy i władzę walką ideologiczną, walką o wolność i demokrację... Amerykańska interwencja w obcej dla USA części świata została określona jako wyprawa krzyżowa przeciwko uciskowi i braku demokracji, oczywiście we własnej, amerykańskiej

retoryce. W rzeczywistości interwencja ta przeobraziła się w wyjątkowo brutalną wojnę, masową zagładę ludności, zniszczenie, szerzenie korupcji i umacnianie coraz bardziej reakcyjnych dyktatorów. Równocześnie Stany Zjednoczone umacniały reżimy dyktatorskie — Koreę południową, Tajwan, Syjam, łącząc je w organizację SEATO — sojusz antykomunistyczny.

Syjam jest w gruncie rzeczy krajem okupowanym przez amerykańskie siły zbrojne. Wojskowych amerykańskich widzi się wszędzie. Pełno ich w hotelach Bangkoku. Odbywają wciąż konsultacje z syjamskimi dowódcami, opanowali lotnictwo i strategiczne punkty.

Polityka syjamska jest polityką jawnego, cynicznego oportunistów. Kiedy wyglądało na to, że Japonia zapanuje nad Azją, Syjam natychmiast opowiedział się po japońskiej stronie. Gdy Ameryka odniosła zwycięstwo, Syjam od razu był gotów zmienić kurs i zadeklarował się jako zaciekły wróg komunizmu... Do władzy doszli generalowie, stworzyli dyktaturę działającą w interesie wyjątkowo skoncentrowanej i żądnej władzy oligarchii, położyli rękę na olbrzymich sumach i rozpoczęli prowadzenie spektakularnej walki przeciwko komunizmowi — daleko od stolicy, na trudno dostępnymi krańcach kraju. Walki te, które polegają częściowo na starciach granicznych z Kambodżą, określane są jako czyste polityczne akcje przeciwko terrorystom lub bandom rabusiów bądź też jako uderzenia z wdzierającymi się przez granice oddziałami wroga, którym nie udało się uzyskać poparcia od zacofanej, zawięzanej komunizmową propagandą, miejscowej ludności. Różne wersje są przeznaczane dla różnych odbiorców: wersja bagatelizująca walki jest

przeznaczona na użytek wewnętrzny, wersja „poważnych walk” — dla zaimponowania Amerykanom i wyciągnięcia obfitych sum dolarów. Zachodzi jednak ryzyko, że Amerykanie zbyt serio potraktują wewnętrzne walki przeciwko komunizmowi i w szlachetnym geście zaoferują bezpośrednią pomoc wojskową, co może przekształcić Syjam w nowy Wietnam. Na razie władze syjamskie odmawiają przyjęcia takiej pomocy. Sytuacja wymaga od rządu zręczności w balansowaniu oraz szczypty szczepienia. Stany Zjednoczone coraz natarczywiej domagają się od Syjamu wkładu w wojnę wietnamską. Syjam zastania się własną walką z komunizmem i wymiguje się jak może. Oczywiście, Amerykanom chodzi w tym wypadku o rzecz symboliczną...

W miarę rozwoju wydarzeń w Wietnamie Południowym narasta opozycja w syjamskich kręgach buddyjskich. Buddyzm stanowi swego rodzaju azjatycką wspólnotę — od Ceylonu i Burmy, poprzez Azję Południowo-Wschodnią i Chinę Południową, aż do Japonii. Buddyzm ten pod wpływem nacisku wydarzeń coraz bardziej się upolitycznia i budzi się do rozumienia aktualnych problemów społecznych. Trzeba się liczyć z tym, że może stać się czynnikiem o decydującym znaczeniu. Buddyzm — jak należy przypuszczać — stanie się ostateczną przeszkodą dla Amerykanów w ich penetracji do Azji, a równocześnie nowym gruntem, na którym nastąpi porozumienie z Chińczykami. Bo Chińczycy to nie tylko Chińska Republika Ludowa. Chińczycy w wielu krajach azjatyckich stanowią część najbardziej żywotnej i najzdolniejszej ludności... Większość nie jest prokomunistyczna, ale są oni związani z Chinami świątymi więziami pokrewieństwa, jakim jest ich

religia. Są poza tym dumni z osiągnięć i potęgę nowych Chin, z wstrząsających ich wpływów... Również i w Bangkoku Chińczycy stanowią poważną część ludności, ekonomicznie silną. Ale wobec nich stosuje się wyjątkowo zarządzania ekonomiczne i polityczne, brzydnym nie po to, aby ich wygrażać, lecz raczej po to, aby wykorzystać ich potencjał ekonomiczny i wyciągnąć jak najwięcej podatków. Stanowią oni swego rodzaju dojąk krowę syjamskiej oligarchii.

Inaczej prezentują się Chińczycy w Hongkongu, gdzie jest ich około 4 mln wobec zaledwie 20 tys. białych.

Hongkong jest pod każdym względem fenomenem: jest to w dużym stopniu ultranowoczesne miasto, rozciągające się wśród nagich skał. Miasto jest uprzemysłowione, posiada nowoczesne dzielnice. Nie istnieją żadne poważniejsze sprzeczności między Hongkongiem, stanowiącym mikroskopijną enklawę, a olbrzymim zapleczem. Transporty ludzi i towarów przez granicę idą zupełnie swobodnie. Dzięki nim Hongkong otrzymuje większość swego zaopatrzenia w żywność, surowce i półfabrykaty. Chiny zaś wzamian otrzymują tak pożądaną walutę. Hongkong nie stanowi dla Chin żadnego zagrożenia, mimo że Pekin od czasu do czasu niepokoi się wizytami amerykańskich okrętów wojennych. Hongkong nie może być broniony od strony Chin. Stanowi on dla Chin wygodę. Dziś jest on dla nich oknem na świat... Przed ostatnim wystawowym z piśmami Mao Tse-tunga, w samym centrum dzielnicy Victoria, można często usłyszeć grupy Chińczyków pograżonych w zadumie. Trudno zgadnąć, o czym myślą, o czym marzą...

# Wyraz „NIEMCY”

**W** SRÓD wielu argumentów, jakich używają rewizjonistyczne kręgi NRF w walce przeciwko granicy na Odrze i Nysie niezwykle często powtarza się teza, jakoby zwycięskie mocarstwa w swoich rokowańach i swoich decyzjach mówiły o Niemczech, jakimi istniały w granicach z 1937 roku. Na tej podstawie twierdzą one, że istnienie Niemieckiej Republiki Demokratycznej i granica na Odrze i Nysie stanowią pogwałcenie uchwał wielkich mocarstw, zwłaszcza Układu Poczdamskiego.

Trzeba mieć wiele tupeży, żeby w taki sposób odczytywać jednoznaczne decyzje Wielkiej Trójki. A jednak Bonn uważa się za spadkobiercę owych Niemców z 1937 roku i tezie tej podporządkowuje swoje stosunki wewnętrzne i kontakty międzynarodowe. Istnienie Niemiec w granicach z 1937 roku uważa, geografii, historii i prawnu, opierając na niej swoją działalność szkolnictwa, komunikacja, poczta.

Ostatnio mamy do zanotowania nowy fakt z tej dziedziny. Oto obie izby parlamentu zachodniemieckiego, Bundesrat i Bundestag, uchwały ustawę „o czasowym zwolnieniu spod jurysdykcji sądów”. Krok ten, podjęty w związku z projektowaną wymianą mówców między SED i SPD, miał zagwarantować swobodę poruszania się przedstawiciel NRD na terenie zachodnich Niemiec, w rzeczywistości jednak stał się powodem zerwania rokowań między obu partiami, bowiem ustawa nie tylko potwierdziła rewizjonistyczne roszczenia terytorialne NRF, ale z pretenzji do reprezentowania Niemiec w granicach z 1937 roku wyodrębliła bardzo niebezpieczne wniośki.

Jak wiadomo, jurysdykcja każdego suwerennego państwa rozciąga się na obszar, który podlega jego władzy. Prawo karne NRF uważa, że obszar wewnętrzny, na którym obowiązują zachodniemieckie kodeksy karny, pokrywa się z granicami Rzeczy Niemieckiej z 1937 roku, a więc obejmuje tereny, które leżą poza granicami NRF.

Jest to wyjątkowa prowokacja.

Sądy zachodniemieckie uzurpują sobie na tej podstawie prawo pociągania do odpowiedzialności obywateli NRD, Polaki i Związku Radzieckiego, wykonujących akty państwowe na terenach, które znajdowały się kiedyś w granicach państwa niemieckiego z 1937 roku. Trudno o podobny przykład, w którym brak poczucia rzeczywistości zaprowadziłby poważnych składników ludzi i poważne instytucje na

## Notes niemiecki

takie manowce głupoty. Rzecz w tym, że ów argument o „Niemczech w granicach z 1937 roku”, owa podstawa całej niemal polityki Niemieckiej Republiki Federalnej nie znajduje pokrycia w tym, co wydały się na Konferencji Poczdamskiej. Wyjaśnia to zupełnie jednoznacznie stenogram z posiedzenia Wielkiej Trójki, na którym była mowa o owych „Niemczech w granicach z 1937 roku”. Przytaczam tu fragment, bo jest on bardzo interesujący.

**Churchill.** Chcę zadać tylko jedno pytanie. Zauważyłem, że używa się tutaj słowa „Niemcy”. Co oznacza teraz wyraz „Niemcy”? Czy można je rozumieć w takim sensie, jak to było przed wojną?

**Truman.** Jak rozumie tę kwestię delegacja radziecka?

**Stalin.** Niemcy są tym, czym zostali po wojnie. Żadnych innych Niemców teraz nie ma. Tak rozumiem tę kwestię.

**Truman.** Czy można mówić o Niemczech, jakimi były one do wojny 1937 roku?

**Stalin.** Jakimi są one w 1945 roku.

**Truman.** One wszystko straciły w 1945 roku. Niemcy teraz faktycznie nie istnieją.

**Stalin.** Niemcy są, jak się to u nas mówi, pojęciem geograficznym. Na razie będziemy tak rozu-

mieć. Nie można abstrahować od rezultatów wojny.

**Truman.** Ale przecież trzeba dać jakąś definicję pojęcia „Niemcy”. Uwagam, że Niemcy z 1886 roku, czy z 1937 roku — to nie to, co Niemcy teraz, w 1945 roku.

**Stalin.** Zmieniły się one w wyniku wojny, tak więc je przyjmujemy.

**Truman.** W pełni zgadzam się z tym, ale mam to powinna być dana jakaś definicja pojęcia „Niemcy”.

**Stalin.** Na przykład, czy zamierza się wprowadzić niemiecką administrację w sudeckiej części Czechosłowacji? Jest to obszar, skąd Niemcy wypędzili Czechów.

**Truman.** Może jednak będziemy mówić o Niemczech, jakimi były one do wojny w 1937 roku?

**Stalin.** Formalnie można tak rozumieć, w rzeczywistości tak nie jest. Jeżeli w Koentigsbergu pojawił się niemiecka administracja, przepędzimy ją, bezwzględnie przepędzimy.

**Truman.** Ustalono na Krymskiej Konferencji, że sprawy terytorialne winny być rozwiązane na konferencji pokojowej. Jak więc określimy pojęcie „Niemcy”?

**Stalin.** Określimy zachodnie granice Polski i wówczas wyjaśni się sprawa Niemiec. Ja zupełnie nie mogę zdecydować się powiedzieć, czym są teraz Niemcy. Jest to kraj, który nie ma rządu, który nie ma określonych granic, bowiem granicom nie nadaje kształtu rozmieszczenie naszych wojsk. Niemcy nie mają żadnych wojsk, w tym także wojsk pogranicznych, są one rozbite na stręfy okupacyjne. No i określacie teraz, czym są Niemcy. Jest to kraj rozbity.

**Truman.** Może przyjmujemy jako punkt wyjściowy granice Niemiec z 1937 roku?

**Stalin.** Wyjść można od wszystkiego. Z czegoś trzeba wyjść. W tym sensie można również wziąć 1937 rok.

**Truman.** To były Niemcy po Traktacie Wersalskim.

**Stalin.** Tak, można przyjąć Niemcy z 1937 roku, ale tylko jako punkt wyjściowy. To po prostu hipoteza robocza dla udogodnienia naszej pracy.

**Churchill.** Tylko jako punkt wyjściowy. Nie znaczy to, że ograniczymy się do tego.

**Truman.** Zgadząmy się przyjąć Niemcy z 1937 roku w charakterze punktu wyjściowego...\*

W tym miejscu skończyła się wymiana poglądów na temat pojęcia „Niemcy”. Wynika z niej jasno, co mieli na myśli przywódcy wielkich mocarstw, kiedy zaproponowali sformułowanie „Niemcy z 1937 roku”. Była to tylko hipoteza robocza, punkt wyjścia, ułatwiający pracę. I na tym nie zakończyła się, lecz rozpoczęła praca Konferencji Poczdamskiej. Kiedy dobiegła ona końca, pojęcie „Niemcy” oznaczało już zupełnie coś innego. Zostały wyznaczone nowe granice, pojęcie „Niemcy” miało dotąd oznaczać kraj leżący na obszarze między Odrą i Renem. Niemcy z 1937 roku stały się już tylko pojęciem historycznym.

(jb)

\*) Sprawy Międzynarodowe, Warszawa, grudzień 1945 r.



**P** OCZĄWSZY od bieżącego numeru nasz przegląd prasy będzie w zasadzie obejmował czasopisma ukazujące się na terenie czterech województw, dla których „Kamena” jest przede wszystkim przeznaczona, oraz pisma pozawarszawskie, tzw. terenowe, które na ogół nie docierają do Lublina.

W rzeszowskich „WIDOKRĘGACH” Aleksander Zyga pisze o wkładzie ziemi rzeszowskiej do kultury narodowej. Po przedstawieniu dorobku przeszłości autor zwraca uwagę na wielkie osiągnięcie rządu naukowego w Rzeszowie w ostatnich latach, które odbywało się pod hasłami „Tysiąclecia. Powstanie wyższych uczelni oraz takich organów jak „Rocznik Województwa Rzeszowskiego” i „Kwartalnik Rzeszowski” stwarzają warunki do powstania środowiska naukowego z prawdziwego zdarzenia. Zagrożają temu pewne ujemne tendencje, które już teraz można zauważyć. Pisze autor:

„Zasadniczą cechą tego ożywienia badań wydaje się być akcent regionalistyczny, skoro na każdym kroku podkreśla się „rzeszowskość”. W fakcie tym dopatrywać się można dążności uczynienia z Rzeszowa centrum badań kulturalno-naukowych, które dawne, prowincjonalne miasto powiatowe pragnie uczynić ośrodkiem naukowym. Czy tej „rzeszowskości” jednak nie za wiele? W regionalizmie tym istnieje bowiem pewne niebezpieczeństwo: odcinanie się od ogólnopolskiego ruchu naukowego i prowincjonalne zacieśnienie”.

Na tych samych łamach Jan Grygiel publikuje interesujący raport „Gdzieś w ustrzyckim powiecie...” Teren to gorzko doświadczony przez historię najnowszą, powiat, w którym na 88 wsi dąży 33 jest jeszcze niezaludnionych, gdzie 72% ludności to osadnicy. Teraz jeszcze koljarzy nam się ten obszar z kowbojami i przygodami pionierów. W rzeczywistości jest inaczej. Władze postawiły na rozwój turystyki i cała ludność wkłada wiele pracy w to, by lepiej się powodziło. Oto końcowa refleksja:

„Gdzieś w tych rozważaniach o codziennym trudzie mieszkańców Ustrzyk, o ich zabiegach i wysiłkach, by życie w tym mieście było łatwiejsze i piękniejsze zapodział się nastrój egzotyki i pionierskiej legendy. Nic takiego w tym mieście bowiem nie zauważyłem. Miasteczko nad Strwiążem chce żyć tak samo jak się żyje nad Sanem czy Wisłą. Nie ma tam już klimatu dla „desperado” poróżnionych z prawem, dla wykołajeńców życiowych szukających odrodzenia w puszcy, ani dla niebieskich paszków usiłujących w „Eldorado” zbijać fortunę”.

Warto także zajrzeć do żywo redagowanego „ECHA PUŁAWSKIEGO” — pisma Azotów. Z okazji niedawnych uroczystości i rozpoczęcia produkcji pisze „Echo” w kolicznościowym artykule: „Budowa, jej tempo i napięcie, przełamywanie codziennych trud-

ności i sukcesy załóg budowlano-montażowych, zmiany, jakie zachodziły pod jej wpływem zarówno w najolbrzymim regionie kraju jak i jej znaczenie ogólnopolskie — to temat pasjonujący nie tylko dziennikarzy. To przedmiot zainteresowania socjologów, literatów, filmowców, malarzy, fotografików i plastyków, nie mówiąc już o każdym obywatelu naszego państwa, którego dotyczy to bezpośrednio lub pośrednio”. W numerze znajduje się pozatem kronika budowy Azotów, przedstawione są też sylwetki „puławskich pionierów”, którzy Azoty budowali i będą nadal budować.

Do najciekawszych „niestołecznych” pism społeczno-kulturalnych należą katowickie „POGLĄDY”, które zdolają pod doświadczoną reka Wilhelma Szewczyka określić swój profil. Dominują tu oczywiście sprawy śląskie. W ostatnim numerze o problemach związanych z Polakami, mieszkającymi w czeskosłowackiej części Śląska Cieszyńskiego, pisze Jan Rusnok. W artykule „Tradycje i ludzie” stwierdza on, że ludność polska na tamtejszym terenie podlega zmianom, kurczy się procentowo i w odruchu samoobrony zamyka się w ciasnym kręgu, w rozpaniętym i pielęgnowaniu przetrwania.

Ale jest też pogląd opozycyjny „zmierzający do pominięcia tradycji w imię nowoczesności i dostosowania działalności do wymogów dnia dzisiejszego...” Chodzi tu m. in. o młodzież, która nie ma zrozumienia dla przeszłości.

Prawda, zdaniem autora, leży pośrodku. Pogodzenie obu tendencji jest warunkiem prawidłowego rozwoju na dalszą metę. Jest to na pewno możliwe, tym bardziej, że doświadczenia ostatniego półwiecza — „zahartowały społeczeństwo, przyspieszyły rozwój jego świadomości społeczno-politycznej, wyselekcjonowały je pod względem narodowym i wpłynęły na wykrystalizowanie się określonego typu działaczy zdolnych do wielkich ofiar, żarliwych patriotów i demokratów. Działaczy wywodzących się prawie wyłącznie z szeregów prostego ludu, najciężej zawsze narzonego na ucisk społeczny, klasowy i narodowy”. Tradycje postępowe Polaków Zaolzia nie są jednak jeszcze należycie spopularyzowane, toteż wiąże się pod tym względem duże nadzieje z nawiązaniem niedawno współpracą ośrodków naukowych Katowic oraz Opawy i Ostrawy.

W tym samym numerze „Poglądów” znajdują się ciekawe wyznania Jana Koprowskiego „Między ojczyzną z urodzenia a ojczyzną z wyboru”. Mimo że od kilkunastu lat autor mieszka w Łodzi, w tym roku otrzymał nagrodę literacką tego miasta, w rzeczywistości czuje się związany z innymi stronami: „Urodziłem się na ziemi kieleckiej, gdzie spędziłem również lata wczesnej młodości. Akcja niejednego z moich opowiadań tam właśnie została umiejscowiona. Kiedy opisywałem jakąś drogę, dom, pole — to jest to droga, którą kiedyś chodziłem, dom, który znam, pole, które do dziś zachowało się w mojej pamięci”. To ojczyzna z urodzenia. Dolny Śląsk — to ojczyzna z wyboru: „upodobałem sobie — pisze Koprowski — te ziemie (...), uczułem miłe pejsz karkonoski (...), mam tam wielu przyjaciół, z którymi spotkania są mi tak niezbędne do życia jak woda i powietrze”.

T. K.

## NAGRODY WOJEWÓDZKIE

Przewodniczący Prez. WRN w Lublinie, PAWEŁ DABEK, wręczył nagrody wojewódzkie za rok 1966 za wybitne osiągnięcia na polu nauki, sztuki, techniki i gospodarki. Nagrody w wysokości 10 tys. złotych otrzymali:

mgr inż. SEWERYN BOBINSKI, kierownik Katedry Mechanizacji WSI, dr HENRYK DABSKI, ordynator Oddziału Wewnętrznej Szpitala im. Biernackiego w Lublinie, JERZY DOSTAŃSKI, sekretarz redakcji „Kamenu”, prof. dr JANUSZ HAMAN, kierownik Katedry Mechanizacji Rolnictwa WSR, WIESŁAWA JANKOWSKA, kierownik działu społeczno-politycznego „Sztandaru Ludu”, ADOLF LEKKI, literat, OSKAR RUPPEL, dyrektor Państwowego Liceum Muzycznego, STANISŁAW STRZYŻYŃSKI, artysta-rzeźbiarz, TADEUSZ TLUCZKIEWICZ, zastępca red. naczelnego rozgłośni Polskiego Radia w Lublinie, prof. dr FRANCISZEK UHORCZAK, kierownik Katedry Kartografii UMCS, mgr inż. TADEUSZ WITKOWSKI, architekt, LONGIN FELIKS ZIELIŃSKI, kierownik Pow. Zarządu Dróg Lokalnych w Chełmie oraz ORKIESTRA WŁOŚCIANSKA im. Karola Namysłowskiego.

Serdecznie gratulujemy nagrodzonym. Szczególnie nas cieszy, że w ich gronie znalazł się sekretarz naszej redakcji kol. Jerzy Dostański i członek lubelskiego oddziału ZLP, kol. Adolf Lekki.



# UCZENI POLSCY W ŚREDNIOWIECZNEJ EUROPIE

JÓZEF SZYMAŃSKI

STEFAN WOLSKI

Wiersze  
morskie

## Pogrzeb rybacki

Gdybyś było łagodne,  
wlecznie spokojne, jak niebo,  
któbyś cię poił smutkiem,  
żałobą rąk załamanych.

Gdybyś tylko dawalo,  
hojnie dawalo, nie bralo,  
cobyś ci rzekła ta ziemia,  
od mogił przylecia  
ku gwiazdom.

Kiedy uderzą w dzwonnice  
na wielki lament i rozpacz,  
i zdejmą czapki rybackie,  
ukłkną przed gniewną falą.

mewy nad nimi przebiegną,  
mewy imiona wykrzyczą  
i mewy znad głębi głębin  
lżą słoną z dziobów uronia.

## Na brzegu Rewala

Z wysoka, z brzegu zeskooczy  
piaskospad złocisty i mialki,  
strumieniem schodków pościeli  
przez złoty próg słońca na dolo.

Zamruczą fale, odetchną,  
na drobnych łapkach przylecą  
i lasić się będą do nogi  
i syczeć o wielkiej przyjaźni.

A jutro nadleca sztormy,  
a z nimi chmury i deszcze;  
zły wichur lodzie i kutry  
przećnie do drżących przystani.

rybak naprawi sieć,  
wleczerem na bajdy, na piwo...  
Zza okien w domach  
wczasowych  
za słońcem klekocze tęsknota.

## Kierunek — Bałtyk

Do ciebie mówię, drubu,  
towarzyszu i bracie,  
Ty dłoń kładąc na falli,  
stojąc w jej słonym przyboju,  
przysięgę przyniosłeś moją.

Tobie dziękuję i chwale,  
A wolność tak ciężko ciążyla.  
Ty ją dźwigałeś w ramionach,  
aż tu, jak dziecko, przez ogień...

Kiedy upadłeś wśród drogi,  
to ja ten ciężar podniosłem.  
A potem do snu zwalony,  
tobie ją znowu oddałem.

ADANIA ostatnich lat, prowadzone w nowych warunkach, korzystniejszych dla historii, pozwoliły wyraźniej zobaczyć sylwetkę uczonego średniowiecznego. Dziś pojęcia o nim kształtuje znajomość życia i działalności Abelarda rozkochanego w pięknej Heloizie, a równocześnie zdolnego swym gorącym sprzeciwem wobec skostniałych kanonów uczonego porwać grono uczniów, rozważających nauki starożytnych pisarzy. Średniowieczny uczonec to coraz częściej astronom Piotr d'Abano, Jan Buridan czy Mikołaj Oresne, w skupieniu śledzący nocami przy pomocy prymitywnych narzędzi ruch ciała niebieskich, nierazko świadomy już ruchu ziemi. Nie śmieją już dzisiaj ich astrologiczne zainteresowania, bo wiemy, że tutaj leżą podwaliny największych osiągnięć współczesnej chemii i fizyki. Dziś średniowieczny uczonec to lekarz Roger z Salerno, Bernard z Gordou czy Gutille de Foligno, dobrze orientujący się, wbrew pozorom, w anatomii człowieka. Dziś ze zdumieniem dowiadujemy się, iż okulary dla dalekowidzów to wynalazek średniowieczna (krótkowidzów zaopatrzony w to urządzenie dopiero w. XVI), że średniowieczne osiągnięcia statyki czy kinetyki zdecydowały o rozwoju nowożytnej mechaniki, a pływająca igła magnetyczna z 360-stopniową skalą i porolany, prymitywne mapy, to zacząłki nowożytnej kartografii.

Średniowiecze nie posiadało uniwersytetów zorganizowanych tak jak je dziś widzimy. Charakterystyczne, iż najstarszy zespół gmachów uniwersyteckich zachował się nie w Bolonii, Padwie, Montpellier, Paryżu czy w Oksfordzie, ale w mieście posiadającym jeden z młodszych uniwersytetów — w Krakowie. Średniowieczne uniwersytety — to związki uczonych, powstające w celu obrony interesów tej grupy społecznej, niezwykle ruchliwej, zdolnej w zadziwiająco szybkim tempie przekazywać sobie wzajemnie własne odkrycia i osiągnięcia. W tych warunkach tkwi przekonanie, że Polska średniowieczna niewiele wniosła do skarby uczonego europejskiej przed powstaniem Akademii Krakowskiej. Późniejsze zaś osiągnięcia naszych znakomych rodaków — M. Skłodowskiej-Curie, K. Olszewskiego czy Z. Wróblewskiego — przyzywały nas do rozpatrywania wkładu do nauki poprzez pryzmat wielkich odkryć. Zapominamy zaś o małych, skrom-

nych osiągnięciach, ale jakżeż w końcu istotnych dla nauki. Nie pytamy zazwyczaj, skąd międzynarodowa waga uniwersytetu krakowskiego już u zarania jego dziejów, zapominamy, iż środowisko uczone, z prawdziwego zdarzenia, bez tradycji naukowych jest wręcz nie do pomysłenia.

Polskie środowisko uczone tkwi swymi korzeniami w okresie, którego poznanie umożliwia tylko badania archeologiczne a nie źródła pisane, kiedy wiedza uczonego niewiele różniła się od wiedzy ludowej. Zdecydowane jego ożywienie nastąpiło w niezwykle korzystnym momencie — na przełomie XII i XIII w. Wówczas to w europejskim środowisku uczonego dokonują się przemiany, które prowadziły wprost do humanizmu i Odrodzenia. Polska na te nowe prądy odpowiedziała najpierw falą studentów, udających się do uniwersytetów włoskich i francuskich. W latach 1285—1291 tylko w Bolonii studiowało 24 Polaków. Niekompłentne jeszcze badania pozwoliły ustalić dla XIII w. listę 200 magistrów-Polaków, a więc absolwentów ówczesnych uniwersytetów, przy czym liczbę tę można spokojnie podwoić. Studia zaś w tym czasie kosztowały tyle, co jedna dobra wieś; porównanie to zdaje się wiele mówić o wielkości „uczonej inwestycji”.

Co dała ona bezpośrednio Polsce? Przede wszystkim zdecydowała o podniesieniu kultury naukowej w kraju, czego dowodem jest np. zawartość polskich bibliotek, nawet prywatnych, zapamiętanych się gwałtownie rękopisami dzieł uczonych. W samym Wrocławiu w XIII w. udało się stwierdzić działalność 14 lekarzy, zaś w pierwszej połowie XIV w. w Krakowie było ich 19. Rzecz jasna, przyczyniło się to do szybkiego rozwoju szkolnictwa. W XIII w. tylko w dwóch miastach śląskich działają szkoły, ale na początku XIV w. posiada je już 11 miast. W Małopolsce w XIII w. działa co najmniej 5 szkół wyższych (ale nie uniwersytetów), zaś na Śląsku najmniej 3. Musiały one stanowić poważne ośrodki uczoneści, skoro w latach trzydziestych XIII w. dla szkoły krakowskiej udało się pozyskać Ugera Buzaccarinusa, profesora prawa z uniwersytetu w Padwie. W konsekwencji wszystkie miasta polskie i liczne wsie wkraczały w wiek XV z dobrze zorganizowanymi szkołami. To tylko kilka sygnałów, mających dać wyobrażenie o skutkach „uczonej inwestycji”, na których tle wyraźniej rysują się sylwetki polskich uczonych tego czasu.

Należy do nich bez wątpienia mistrz Wincenty Kadłubek, działający na przełomie XII i XIII w., do niedawna uważany za symbol uporu i nieuctwa. Wincenty to nie tylko historyk, ale przede wszystkim przy-

kład średniowiecznego humanisty. Badania O. Balzera, a zwłaszcza M. Plezi, mówią o jego doskonałej znajomości ówczesnej wiedzy europejskiej; przekonuje o tym m. in. swoje repetytorium uczoneści z zakresu zoologii i biologii, zamieszczone w jego Kronice. Inny historyk — Marcin Polak (zm. 1279 r.) — to autor Cronica summorum pontificum imperatorumque (Kronika papieży i cesarzy), a więc historii powszechnej, jakbyśmy to dziś powiedzieli. Stanowiła ona aż do XVII w. najbardziej poczytne dzieło historyczne w całej Europie, mające 9 wydań drukowanych i kilka przekładów na języki narodowe. Inne jego dzieło, prawnicze, Margareta decreti (Perla dekretów), które miało co najmniej 13 wydań drukowanych w XV i XVI w., kształtowało praktykę jurystyczną w całej niemal Europie. Wawrzyniec z Polski jest autorem Memoriali decreti, czyli mnemotechnicznego podręcznika prawa kanonicznego i rzymskiego, jeszcze w XIV w. obowiązującego na uniwersytecie w Bolonii, o którym dobrze wiemy, jaką rolę odegrał w rozwoju prawa europejskiego. Ślady jedynie teoretycznego dorobku w zakresie prawa Stefana Polaka przekazały dzieła wybitnych prawników bolońskich i padewskich.

Nie brakło Polaków wśród uczonych medyków. Mikołaj Polak zostawił dzieło zarytowane Antipocras czyli Antihypocrites, po prostu pamflet na współczesnych lekarzy i ich wiarę w zabiegi magiczne, pamflet wytworny, bo napisany leoninami w formie poematu. Średniowieczni lekarze zdają się zresztą lubować w satyrze zwalniającej przesąd. Inny wybitny medyk, Tomasz biskup sufragan wrocławski, praktykujący aż do śmierci, zostawił dzieło Noli errare (Nie chęć błądzić), w którym zwalcza astrologiczne przesady zakorzenione w medycynie. Dzieła tegoż medyka, Mihi competit, (Wydałem mi się) i Alphabetum, jeszcze w XVI w. służyły jako praktyczne podręczniki dla lekarzy środkowej Europy. W połowie XIV w. rektorem najlepszej szkoły medycznej, uniwersytetu w Montpellier, był Jan z Grodkowa, autor dzieła o zarach czyli powietrzu morowym, wykazujący w swoich rozważaniach wiele zdrowego rozsądku.

Bez porównania większe osiągnięcia mieli nasi uczeni w zakresie nauk ścisłych. Wymienię tylko dwóch, działających w XIII w., pomijając całą plejadę uczonych o mniejszej wadze. Franko z Polski, uczeń uniwersytetu paryskiego, pozostawił jedno dzieło: Tractatus turketi. Opisał w nim przyrząd astronomiczny, umożliwiający dość precyzyjne obserwacje położenia ciał niebieskich, przy czym zaprezentował olbrzymi zasób wiedzy a-

stronomicznej i matematycznej. Dzięki temu przyrządowi udało mu się skorygować obliczenia tzw. tablic tolemańskich, opracowanych przez uczonych arabskich i żydowskich, ustalających szerokość i długość astronomiczną ciał niebieskich w oparciu o panujący wówczas system geocentryczny. Witello, którego chcąc nam zaakcentować Niemcy, to przede wszystkim fizyk, matematyk i filozof. Najważniejsze jego dzieło to Perspectiva, w którym opisał eksperymenty mające na celu określenie wielkości kątów załamania światła przechodzącego przez powietrze, wodę i szkło. Mimo niedoskonałości tych odkryć, zdecydowanie rozszerzył znajomość optyki, a przy okazji sformułował kilka oryginalnych twierdzeń z zakresu geometrii. Jego badania są wysoko cenione, a Crombie, angielski historyk nauki średniowiecznej, wręcz uznał je za pierwszorzędne wydarzenie. Niewątpliwie stały się one punktem wyjścia dla odkryć Jana Regiomontana, Łukasza Pacioli, Leonarda da Vinci, Mikołaja Kopernika i Jana Keplera.

Przyglądając się bliżej polskiemu światu uczonego w XIII i XIV w., bez trudu dostrzegamy trzy zjawiska. Pierwsze — to brak wybitnych teologów, którzy w zachodniej Europie zdecydowanie przeważają i nadają ton kierunkom badań. Zaważyło to na całokształcie naszej nauki, nie tylko w średniowieczu, umożliwiając dominację nauk ścisłych. Po drugie — uczeni średniowieczni to niemal bez wyjątku duchowni, ale też zawsze pochodzenia plebejskiego albo drobno-rycerskiego. W ówczesnej sytuacji kariera kościelna była dla ich aspiracji rodzajem stypendium naukowego. W konsekwencji zdecydowało to, iż nauka polska przez długie wieki znajdowała zrozumienie i zainteresowanie właśnie w plebejskich środowiskach, zwłaszcza miejskich. Po trzecie — zdecydowanie zarysowuje się krąg ślaski obok małopolskiego, a więc regiony najbardziej w średniowieczu zaawansowane gospodarczo i urbanizacyjnie. Co ciekawsze: krąg ślaski — mimo niwytłiwego zagrożenia germanizacyjnego jest zawsze świadom swej przynależności do narodu polskiego. Są to momenty nie bez znaczenia dla sprawy utrwalenia i przetrwania polskości na Śląsku, pomimo że wchodził on w skład obcego organizmu państwowego.

Nie ma potrzeby podkreślać wagi średniowiecznego uczonego środowiska polskiego, zwłaszcza jeśli zdamy sobie sprawę, iż Odrodzenie w zakresie nauki nie wniosło nic nowego. Nie zmieniło ani przedmiotu badań ani metod badawczych. To uczyniło dopiero Oświecenie ze swym racjonalizmem; Odrodzenie przyniosło jedynie intensyfikację badań naukowych. Dzięki więc nowszemu pracom historyków genealogia nauki polskiej rysuje się coraz ciekawiej, wyraźniej i pełniej.

CIEMNAWE wnętrze. Przez niezbyt szerokie okna lektorium zagładają wiosną wysokie, kremowe kwiaty wielkiego kasztana rosnącego tuż koło gmachu. Pełno tu wszelakich blasków, pogody, uśmiechów młodości i zupełnego oczarowania umysłowego. To zakład filologii klasycznej Uniwersytetu Warszawskiego. Obecnie mieszczą się tam zakłady papyrologii i prawa.

Lewe skrzydło od wejścia w bramę główną. Lata 1921—1926. Pierwszy pokój to trochę szatnia, a więcej studenckie Kolo Klasyków. Tu można było zawsze nagać się, naplotkować, trochę z cicha (!) naśmiać, tu odbywały się zebrania zarządu Kola Klasyków, tu rezydował dyżurny, wydający książki i reagujący na dzwonek wyjściowe. Tylko gdy rozległ się trzask klucza profesorskiego, zalegała cisza. Potem znów rozkoszny pogwar. Drugi z rzędu (niestety, amfildada) pokój to królestwo asystenta dr Aleksandra Turyna i asystentki dr Marii Maykowskiej, późniejszego docenta UW. Stąd dwie drzwi: jedno do lektorium, jednocześnie będące miejscem ćwiczeń i seminariów oraz biblioteką (co za klasnot!), drugie do gabinetu profesorów. W tym zakładzie upływało i kształtowało się całe nasze życie akademickie.

Nasz zakład był wielką szkołą charakteru i miłości do antyku. Przede wszystkim wspaniale, rzewne, niezapomniane, niepowtarzalne, dionizyjskie wykłady z literatury greckiej prof. Tadeusza Zielińskiego. Wychodziliśmy z nich w stanie jakiegoś oczarowania, najwyższego zachwyty. Dalej rzymskie wykłady prof. Gustawa Przychockiego, którego nazywano vir Plautinissimus. On to wdrożył nas w śledzenie formalnego rozwoju sztuki scenicznej, szczególnie ko-

medii. Wreszcie bardzo interesujące rozważania filozoficzne i grammatyczne młodzieńkiego jeszcze wówczas prof. Adama Krokiewicza.

Ale szkołę charakteru dawał nam przede wszystkim Gustaw Przychocki. Stworzył ścisłą hierarchię studencką oraz włączył ją w żywy organizm tradycji zakładowej. Po wstąpieniu na filologię klasyczną zdawało się egzamin z jęz. greckiego u dr Marii Maykowskiej: kilka

razu miałam na łacińskim seminarium interpretację z „Medei” Seneki. Miejsce było trudne, dużo krytyki tekstu, kwestii metrycznych. Referowałam przez sześć posiedzeń, tzn. przez tyle tygodni z rzędu. Aż wreszcie, gdy na ostatnim posiedzeniu profesor zaczął coś jeszcze podsuwać, wyciągał nowe wątpliwości, ja ze zmęczeniem i zdenerwowania palnęłam:

— Oto skutki, gdy profesor się nie przygotowuje, jak należy, do dys-

gancją. Siadam i drżąca trzymam mowę:

— Ponieważ nie zostałam usunięta z seminarium, choć zasłużyłam na taką karę, przychodzę przeprosić pana profesora za moje w najwyższym stopniu niegrzeczne zachowanie.

— Czekalem na panią i wiedziałem, że pani przyjdzie i powie to, co pani właśnie powiedziała.

Zadnej zemsty, żadnego gniewu. Sprawa zlikwidowana.

### Ze wspomnień studenckich

## Seminarium pod kasztanem

IANINA PLISZCZYŃSKA

(bagatela!) ksiąg Homera, duża partia Ksenofonta, dwa dialogi Platona, jedną tragedię. Jeśli kandydat przychodził z gimnazjum humanistycznego, z użyciem na to do dwu lat studiów (!). Po zdaniu egzaminu wstępnego z jęz. greckiego stawał się członkiem seminarium greckiego, łacińskiego mógł zrobić przed zdaniem jęz. greckiego. Z kolei stawał się hospitantem seminarium, a dopiero po napisaniu pracy seminaryjnej członkiem seminarium. Był to szczyt marzeń studenta. Gustaw Przychocki jako kierownik zakładu wręczał mu uroczyste, z emfaticzną przemową, klucz do zakładu, tzn. otwierał mu dostęp do wszystkich ksiąg z dniami i nocą. Wielki to był dowód zaufania ze strony całego zespołu profesorskiego. Jakby pasowanie na rycerza.

Wychowywał nas Gustaw Przychocki w normach honoru. Pewnego

kusji i wymaga za wiele od studenta.

Cisza śmiertelna. Profesor spurpurowiał. Chwyta za kalamazur i obraca go w ręce. Był pasjonatem. Czekam. Nie rzekł słowa i poprowadził dalej seminarium. Następnego dnia szukam nerwowo wśród ogłoszeń na drzwiach zewnętrznych zakładu, czy nie zostałam skreślona z listy studentów. Nie. Idę do Aleksandra Turyna.

— Czy profesor nie usunął mnie z listy członków seminarium?

— A dlaczego miałby usuwać?

Nie nie powiedziaławszy odeszłam. Następnego dnia pytam go o to samo. Zdziwione zaprzeczenie. Wreszcie czwartego dnia miałam najlepszą sukiencyjną, jaką miałam, a miałam ich wówczas bardzo niewiele. Melduję więc u profesora. Profesor wstaje, wita mnie z wyszukaną ele-

mentem. Innym razem podczas kontroli okazało się, że zginęła jedna książka. Profesor wściekle wbiega na posiedzenie seminarium: ktoś z państwa przywłaszczył sobie książkę. Zacerwieniłam się okropnie.

— Po cóż się pani czerwieni, skoro pani nie wzięła?

— Nie wzięłam, panie profesorze, ale samo posiedzenie jest nad wyraz przykre.

Momentalnie przestał o tym mówić. Okazało się później, że to jeden z doktorantek wzięła książkę na jeden dzień dla sprawdzenia cytatów. Taki to był Gustaw Przychocki: popędliwy, to prawda, ale za swoich studentów gotowy pójść w ogień, dbały o nich i sprawiedliwy.

Ale nie tylko prof. Gustaw Przychocki szanował swoich studentów, inni profesorowie także wyrażali nam swe uznanie, a nawet żyli z

nami na stopie towarzyskiej. Pamiętam, kiedy po raz pierwszy zaprosił mnie do swego domu prof. Adam Krokiewicz. Był na tym przyjęciu również prof. Tadeusz Zieliński z Weroniką, swą uroczą córką. Potem prof. Adam Krokiewicz złożył wizytę moim rodzicom. Byłam w siódmym niebie.

A leż filizanek czarnej kawy i kanapek z lososiem zjadło się u prof. T. Zielińskiego i u kochanej panny Weroniki! W tej atmosferze wielkiego zaufania, wzajemnej życzliwości, ale i dystansu należytego wielkości profesorów robiliśmy wszystko, aby świetnie zdawać kolokwia i egzaminy. Kwestią honoru było nie zawieść zaufania.

Wspomnę tu jeszcze wypadek, który zdarzył się, gdy zdawałam u prof. T. Zielińskiego ostatnie kolokwium z rocznego kursu historii filologii klasycznej. Będąc na czwartym roku studiów straciłam nagle ojca i musiałam przez rok utrzymywać matkę i dwoje rodzeństwa dopóki się nie zagospodarował samodzielnie. Choć byłam obarczona ponad miarę korepetycjami, oczywiście nie przyszło mi do głowy prosić uniwersytet o stypendium (odłożyłam tylko czesne uniwersyteckie, które spłaciłam kilka lat później). Żeby zdać ten kurs, musiałam na cztery dni zrezygnować ze wszystkich lekcji i dniami i nocą przyswajać pamięciowo tysiące nazwisk, tytułów, dat. Nie zdawałam więc tak, jak dotychczas. Prof. T. Zieliński spojrzal na mnie i rzekł z żalem:

— Nie mogę postawić wyższej oceny nad dobrą.

Ja zaś, choć w żalobnej sukience, jednym słowem nie usprawiedliwiłam się względami życiowymi.

Tak wyglądała nasza filologia klasyczna w Warszawie, a wężły przyjaźni, zadziernięte w tych czasach, trwają w większości wypadków do dnia dzisiejszego. Kiedy zaś

(Dokończenie na str. 11)



# Ucieczka

STANISŁAW WĘGRZYŃ

**P**ANA Józwiaka, bylego właściciela cukierni na Placu Wolności w Poznaniu, a wówczas członka rządu polskiego we Francji i naszego „opiekuna”, już dawno tu nie było. „Panowanie” Bohdana Witkowskiego także dobiegło końca. Na wiadomość, że Niemcy zajęli Paryż, wyjechał z początku przypuszczalnie, że po instrukcje od rządu, ale wypadki dowiodły czegoś innego.

Pojechał „urządzić się”. Nie było go parę dni. W tym czasie czuliśmy się o wiele lepiej, nawet jedzenie trochę się poprawiło. Nie ulegało wątpliwości: pan Witkowski nas okradł. To, co nastąpiło po jego powrocie, nie było zbyt radosne, miało jednak i dobre strony. Przyjechał autem swojej francuskiej przyjaciółki i zwołał zebranie, na którym oznajmił, że Przystulek dla Inwalidów Wojennych w La Change, departament Dordogne, zostaje rozwiązany. A podopieczni? Zwyczajnie: każdy może sobie robić co mu się podoba. Czyli jak mówią Rosjanie: Spasajsia, kto może! Nie tracąc czasu, bez czułych pożegnań ze swymi „pupilami”, pan Witkowski wsiadł do auta i azybkowo odjechał.

Okazało się, że wśród mieszkańców tego żaloznego przystulku ja miałem najszybszą orientację. Pobiegłem na górę do sypialni, zebrałem z łóżek tyle kocy, ile potrafiłem unieść i pocwałowałem z nimi do wód do sklepiku. Tam udało mi się z miejsca to wszystko sprzedać — za pół darmo.

Wróciłem, ubrałem rumuńskie palto, dar rumuńskiego Komitetu Opiekunczego nad Uciekinierami z Polski, kapeluszyk, prawdziwe „Borsalino”, wycyganiony już nie pamiętam od kogo, wrzuciłem parę drobniaków do koszyczka. Z tym wszystkim wyszedłem przed bramę parku, który wraz z drewnianym pałacem, naszym dotychczasowym schronieniem, należał do jakiegoś Francuza, przeczornie ukrytego w bezpiecznym miejscu.

Miałem szczęście. Ostatni autobus do Perigueux wrócił nadzadzi. Wepchnąłem się na siłę do środka i po półgodzinnej jeździe znalazłem się w mieście — zabytku, założonym jeszcze przez Rzymian. Dowiedziałem się szybko, że nocleg dla uciekinierów jest w teatrze. Spałem tam więc na scenie — warztaście mojej pracy, na jednym z łóżek połowych, które wprost zakrywały podłogę, choć w tym dniu tłoku jeszcze nie było.

Rano zerwałem się wcześniej, aby złapać pierwszy autobus jadący na południe. Niemcy zajmowali Francję od północy więc wy-

akowoci: Bayonne. Tutaj kiedyś formowały się jednostki gen. Hallera.

Kiedy przyjechaliśmy do Dax, autobus do Bayonne czekał już na pasażerów. Po pół godzinie wysiadłem w mieście; byłem przekonany, że to już koniec mojej podróży. Udałem się do komitetu dla uchodźców i poprosiłem pracującą tam panią o kartki na żywność i nocleg.

— Żywności w mieście nie ma. Poślemy pana do chłopca, 30 km stąd, tam pan przeczekaj niespokojne czasy.

— Bardzo dobrze — odpowiedziałem. Pójdę tam z przyjemnością, ale z moją siostrą, która mi się tu gdzieś zawierzyła. Muszę ją najpierw odnaleźć. Tymczasem proszę kartkę na nocleg.

Po otrzymaniu kartki poszedłem do miejscowej szkoły, która obecnie służyła za przystulek dla uciekinierów. Zobaczyłem ładny duży gmach, zbudowany w stylu hiszpańskim, posiadający na środku obszerne patio. Pod kolumnadami leżała słoma, a na niej — tłok. Znalazłem przecież miejsce, a po chwili usłyszałem pytania: „De quelle nationalité êtes vous?” Kiedy powiedziałem, że jestem Polakiem, nastąpiło wyraźne poruszenie i sąsiedzi zaczęli okazywać mi sympatię. Stosunek, którego dotąd nie spotkałem, ponieważ Francuzi przeważnie okazywali mi niechęć, w przekonaniu, że z powodu Polaków muszą się bić o ten przeklęty Danzig, o którym nawet nie wiedzą, gdzie się znajduje. Niektórzy z moich obecnych towarzyszy niedoli próbowali mówić łamaną polszczyzną, informując, że albo oni, albo ich przodkowie pochodzą z Polski.

Znalazłem się jak w domu, w rozmowie serdecznych i intymnych rozmów, wspomnień i dialogów podobnych do prowadzonych ze Srułem z Lubartowa, albowiem byli to krewni czy też potomkowie naszych Żydów, którzy już raz uciekali ze swej ojczyzny z powodu prześladowań rasowych lub z nędzy.

Po głęboko przespanej nocy na drugi dzień udałem się obejrzeć miasto i ewentualnie „złapać języka”. Na początku czekała przyjemna niespodzianka: przepiękna katedra z jakimś klasztorem i jeszcze piękniejszym krużgankiem z kolumnadą. Potem jednak dowiedziałem się rzeczy niepokojących. Kolej i autobusy nie kursowały. Wszelkie władze, i Konsulat Polski także, opuszczają czy już nawet opuściły miasto, udając się jakoby do Lourde, ponieważ warunki „armistice” stwierdziły, że Niemcy mają podobno zająć tylko pas wybrzeża szerokości 30 km. Konsulat Polski, mówiono, zwiadł do St. Jean de Luz, portu oddalonego o jakieś 25 km, w którym miały stać okręty angielskie, celem zabrania na pokład uciekinierów. A plotka krążąca między uciekinierami głosiła, że Niemcy są już 30 km od Bayonne. Na nie przydał się cały mój pośpiech, doganiają mnie! Jedyny ratunek, to znaleźć się we wspomnianym porcie. Ale gdybym nawet poszedł tam piechotą, to przecież Szwaby dogonią mnie zaraz na piątym, jeżeli nie na trzecim kilometrze. Jedynie cud mógł mnie uratować. I rzeczywiście!

Kiedy tak stałem na chodniku, pograżony w niewesołych myślach, zajęzda i staje obok mnie jakaś kryta ciężarówka. Z szoferki wyskakują... polski kapral! Pamiętam tylko, że gwałtownie podskoczyłem do niego i zaczęła się rozmowa, jakbyśmy znali się od lat.

Nie wiem, kto rzucił na Polaków oszczerstwo jakoby nie mieli wcale instynktu handlowego. Kiedy kapral dowiedział się, że wielu z nas pragnie dostać się do St. Jean de Luz, powiedział rzeczowo i stanowczo: „Niech ich pan tu przyprowadzi. Po 100 „franiów” od łebka i zawiozę do portu”.

Do wnętrza ciężarówki napakowało się tylu ludzi, ilu wiało. Ruszyliśmy. Kilometr

z miastem kapral zatrzymał ciężarówkę, kazał wszystkim wysiąść i uścielić należność podługową czyli po sto „franiów” od osoby. Nawet mnie nie podarował, bestia! W każdym razie po godzinie byliśmy w porcie.

W tłumie mignęły twarze znajomych osób. Zauważyłem Lucjana Krzemieńskiego z gitarą, aktora z Teatru Narodowego, Zygmunta Nowakowskiego z Ikacą, moich kolegów — Zygmunta Modziewskiego, dzisiaj w Stanach, i Szczepana Baczyńskiego, obecnie prorektora PWST w Warszawie. W dalsi przemknęła mi sylwetka Alicji Halamy. Sytuacja była jednak tak naprężona, że się nikł nie przyznawał do swoich znajomych, myśląc dziecinnie, że sam łatwiej przejdzie przez to ucho igielne, prowadzące na okręt angielski, niż razem z kimś znajomym. Woleli swoich kłopotliwych pobratymców i przyjaciół unikać. Ja jednak trafiłem na sytuację wprost przeciwną. Spotkałem grupkę techników i inżynierów Polaków, którzy zamierzali podać kapitanowi swoją listę fachowców, sądząc, że po wojsku polskim oni będą pierwsi okrętowani przez Anglików. Natychmiast zgłosiłem się do nich jako radiotechnik, co o tyle było prawdą, że interesowałem się tym z amatorstwa. Akces swój poparłem kilkoma głoynymi argumentami i dzięki temu zostałem umieszczony na liście.

Nagle zawiało, zagrzmiało i lunął reszisty deszcz. Anglicy wstrzymali załadunek. Tym na brzegu zakała rzędną. Kiedy zapadła noc, wraz z kilkoma kolegami udaliśmy się na poszukiwanie jakiegos schronu. Znalazliśmy w końcu przystulek właściwy dla najbardziej biednych z biednych. Pod kościołem. Na malej platformie z boku kościoła usadowiliśmy się we czwórce i tak, drżąc czasami, przeczekaliśmy do rana. Niestety, pogoda się nie zmieniła i druga noc spędziliśmy tam, gdzie pierwsza.

Tego ranka wypogodziło się, więc szybkim krokiem, pełni nadziei pobiegliśmy do portu. Tłumy były na stanowisku, tylko jakby liczniejsze. Po pewnym czasie do kamiennego mola podpiłyśmy małe barki o płaskich dnach. Po załadowaniu wojska, przysłała kolej na nas. Chytre kalkulacje inżynierów nie zawiodły. Dostałem się do drugiej barki i po kręcaniu między kanałami zobaczyłem otwarte morze, a na nim, w pewnej odległości, cztery czarne węglowce angielskie. Podpiłyśmy do jednego z nich i kiedy na mnie przysłała kolej, z koszykiem rumuńskim na plecach, chwyciłem za szczeble drabinki sznurowej i błyskawicznie wdrapałem się do góry. Przewaliłem się przez burtę i stanąłem na pokładzie angielskim. Napiecie mięśni brzusnych zebrało i przysłowiowy „kamień spadł mi z serca”.

Nagle usłyszałem syrenę okrętową. Jedną, drugą, czwartą... Maszyny zaczęły pracować. Co jest? Przecież podpiłyśmy następne barki! Okazało się, że forpoczą Niemcekle wjechały już do miasta. Statki nie mogły ani chwili dłużej stać w porcie.

Na pokład wciągano właśnie drabinkę, kiedy usłyszałem krzyk. Spojrzałem w dół: na barce podpiływającej do okrętu stała kobieta z tragicznie wyciągniętymi w naszą stronę ramionami. Nie znalazłem jej osobiście, lecz — tak! — to była Eichlerówna! Obok stała widocznie siostra, bo bardzo do niej podobna. Nie zdążyły.

Impulsywnie krzyknąłem: „Eichlerówna!” Tylko siostra spojrzała w moją stronę, lecz nie znalazły nikogo znajomego, zrezygnowana, obojętnie odwróciła głowę. Statek ruszył. W ten sposób, pierwszy raz w życiu opuściłem brzozi Europę — mojej ojczyzny. Na koniec pomyślałem: „Jak dobrze, że nie ja zostałem na tamtej barce”.

(Fragment wspomnień przygotowywanych do druku)

## WKŁAD IWANA FRANKI W KULTURĘ POLSKĄ



Iwan Franko (reprodukcja obrazu S. Sawina)

**W** ROKU bieżącym mija pięćdziesiąt lat od dnia śmierci i 110 lat od daty urodzin pisarza ukraińskiego, rewolucyjnego demokraty Iwana Franki.

Wybitny poeta, powieściopisarz i dramaturg, piómienny publicysta, tłumacz, krytyk i historyk literatury, folklorysta, ekonomista i językoznawca — pozostawił po sobie wielką spuściznę naukową i literacką. Spod jego pióra wyszło ponad 100 utworów literackich małego formatu, dziewięć powieści i szereg opowiadań, w tym słynna powieść napisana w języku polskim pt. „Leluz i Poleluz”. Oprócz tego Iwan Franko napisał około pięciu tysięcy prac naukowych, których większość weszła na stałe do literatury naukowej ukraińskiego. Z pięciu tysięcy prac ponad tysiąc zostało napisanych i wydrukowanych w języku polskim.

„Jeżeli nawet większość publikacji polskich Iwana Franki — pisze profesor wrocławskiego uniwersytetu Marian Jakubiec — stanowią artykuły publicystyczne, to pomimo to wszystkie trzeba go zaliczyć do najbardziej twórczych pracowników ówczesnej polskiej prasy! A przecież w jego dorobku są wiersze, powieści i nowele, polskie prace literaturoznawcze, rozprawy et-

nograficzne i folklorystyczne napisane w języku polskim, tłumaczenia z literatury zachodnioeuropejskiej na język polski. Wystarczy zajrzeć do roczników polskich gazet z lat 80—90 ubiegłego stulecia, do „Prawdy” Świętochowskiego, „Przeglądu Społecznego” — Wyssoucha, do „Głosu”, „Przeglądu Typodniowego”, „Ateneum”, do petersburskiego „Kraju”, „Kurjera Lwowskiego”, do czasopism naukowych takich jak: „Wista”, „Lud”, „Kwartalnik Historyczny” i in. — a wszędzie tam odnajdziemy cen-

### MIKOŁAJ KOROLKO

ne publikacje niezmiernie cenne naukowca, pisarza i publicysty.

Literacka, naukowa, publicystyczna i społeczno-polityczna działalność Iwana Franki była produktem nieprzeciętnej indywidualności i ukstałowała się na pograniczu co najmniej trzech kultur: ojczystej ukraińskiej, polskiej i niemieckiej. Później ważne miejsce w kształtowaniu się jego indywidualności zajęła kultura rosyjska.

Badając literaturę polską Franko zwracał szczególną uwagę na konieczność dokładnego poznania wzajemnych stosunków polsko-

ukraińskich i całą swoją działalność skierował na wzajemne poznanie i zbliżenie obu narodów. W pracy z r. 1894 „Wzajemny stosunek literatury polskiej i ruskiej” (ukraińskiej) pisał m. in.: „W całej Słowiańszczyźnie nie ma dwóch narodów, które by pod względem życia politycznego i duchowego tak ściśle rosły się ze sobą, tak licznymi połączone były węzłami, a mimo to tak ciagle stroniły jeden od drugiego, jak Polacy i Rusini”.

W przedmowie pt. „Coś o sobie” napisanej w języku polskim do zbioru opowiadań „Obrazki galicyjskie” Franko stwierdza m. in.: „Mówią o mnie, że nienawidzę szlachty polskiej. Jeżeli do szlachty polskiej zaliczyć Orzeszkową i Kopnińską, Prusa, Lenartowicza i Karłowicza, to podobne zdanie o mnie będzie całkowicie niesłuszne, bo tę prawdziwą szlachtę polską, bo tę elitę narodu polskiego cenię i lubię, jak lubię wszystkich szlachetnych ludzi własnego i innego narodu”. Jednocześnie Franko stara się zapoznać społeczeństwo polskie z literaturą ukraińską pisząc prace w języku polskim: „Ukraińska rymyka w poezjach Bogdana Zaleskiego” oraz „Literatura rusińska”, którą drukuje w „Przedzie”.



## A kiedy mi skarpetki...

A kiedy mi skarpetki cerowała matka —  
W jej oczach było światło niebieskie nad podziw —  
Bóg przez ucho igielne leciutko przechodził  
I dopomagał w szyciu — cera była gładka.

Gdy mnie w progu żegnała — uderzył czas męski —  
Zygzak dłoni rozchyłał mi przestrzeń na rozcień, —  
Bóg zaś w obłokach wspaniałych na powietrzu kreski  
Przybijał pracowicie gwóźdźki swe ostre.

Jedne wyrwał, wbił drugie. Wszystko jest jak trzeba —  
Czas trzepocze się przodem na kształt kuropatwy,  
Wciąż dokazuje cudu rozmnażania chleba —  
Cud jak to cud — raz trudniej przyjdzie, a raz łatwiej.

Światła oczu są krucho — zbutwiały płomyki.  
Pięty dzieci znowu świat opukują stary...  
Przestrzega, bym im kazał wiać ciepłe szaliki,  
Bóg, którego przekreśla me wyznanie wiary.

Łódź

STANISŁAW SKONECZNY

## Miedź

Wall się nawet drzewo tysiącletnie  
I wstrząsa ciężko dookoła ziemią,  
a potem wiatru grają tylko fletnie  
i psy na progach nieuważnie drzemają.

Przez czarne pole białe gwiazdy niosą  
złe ślepią sowy i skrzydła dziecięca  
i na wschodzące w martwym brzasku proso  
ciężki księżycowy zza obłoku wola.

Ono do niego, szumiąc, nie pobiegnie,  
a będzie czekać do ciepłego zniwa.  
Pośrodku nieba zabity cień legnie  
i krew miedziana ścieknie z niego żywa.

I zalopocze wiatr w czerwonej zorzy  
i w nocy oczy zgubione zaplaczają.  
Nic dookoła siebie nie zobaczają  
i dzień przed nimi już się nie otworzy.

Kraków

TADEUSZ ROSS

## Los

Wśród salonów Wersalu tłok dzweczących kokard,  
Menuety, lansady, ukłony i dygi.  
Przy białym klawikordzie mały chłopiec Mozart  
siadł i z muzą Muzyki rozmawia na migi.

Potem w ogród wybiegło wdzięcznych dzieci dwoje:  
Wolfgang trzymając rączkę Maril-Antoniny  
patrzył w księżyc, co sunął pomiędzy gwiazd rojem  
jak ostre przeznaczony przez los gilotyny.

Warszawa

(W wieku lat sześciu Mozart po raz pierwszy objędział wraz  
z grupą muzyków Europę i również grał w Wersalu. Był rówieś-  
nikiem Maril-Antoniny.)

BIAŁORUSINI  
na Białostoczczyźnie

(Dokończenie ze str. 1)

lorusinem? Istnieje duży odłam społeczeństwa etnicznego białoruskiego, posiadający świadomość narodową polską. Jest to głównie ludność wyznania rzymsko-katolickiego, która dominuje w powiatach dąbrowskim, sokólskim i częściowo białostockim.

W dalszych swoich rozważaniach będę miał na myśli wieś w całości prawosławna, która jest określana bez protestu jako białoruska, a więc powiat hajnowski i częściowo bielski i siemiatycki, które są bazą białoruską życia kulturalno-oświatowego. Tu najbardziej bujnie rozwija się ruch amatorski, tu istnieje czytelnictwo książek w języku białoruskim, tu rozchodzi się większa część nakładu białoruskiego tygodnika „Niwa”. Tu koncentruje swoją działalność Towarzystwo Białoruskie, w Hajnowce i Bielsku Podlaskim istnieją licea ogólnokształcące z obowiązkowym przedmiotem „język białoruski”, podobne klasy (równoległe) istnieją w bielskim liceum pedagogicznym. Tu wreszcie we wszystkich szkołach wiejskich, dzieci uczą się języka białoruskiego.

Lovell niewątpliwie popełnił błąd pisząc, że mniejszość narodowa w Polsce „ujawniła się” po roku 1956. Takie sformułowanie sprawia wrażenie jakoby do tej daty nie było istniało. Tymczasem prawda jest inna. Pierwsze liceum ogólnokształcące z językiem białoruskim jako przedmiotem powstało w Bielsku Podlaskim w 1949 r. i w gruncie rzeczy było reaktywowaniem poprzednio istniejącego do 1947 r. z białoruskim językiem nauczania (takie samo istniało w tym czasie w Białymstoku). Proces wprowadzania języka białoruskiego do szkół podstawowych zakończył się w zasadzie w roku 1953 — obecnie takich szkół jest ok. 180. Czytelnictwo wiejskie książek białoruskich obserwuje się już na przełomie lat 1954/55, ruch amatorski dużo wcześniej, a pierwszy numer „Niwy” ukazał się 4 marca 1956 r. — opóźniony co najmniej o rok wyłącznie z powodu trudności technicznych i częściowo kadrowych.

Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne powstało 26 lutego 1956 r. Jego powstanie jak i ukazanie się „Niwy” stało się już tylko ukoronowaniem tego ruchu, ponieważ osiągnięciem jego celów ostatecznych. W ciągu następujących 10 lat obserwujemy tylko konsekwencje istnienia, które zresztą są i sensem i celem. A więc narodziny twórczości literackiej i naukowej w tym języku, zaczątki wydawnicze, wzrost aktywności kulturalno-oświatowej, przerastanie poczucia narodowego w świadomość itp. Ale bądnym szcze-

rzy: wszystko to dotyczy raczej peryferii wsi białoruskiej, marginesu tego społeczeństwa. Charakterystyczne, że np. wieś przyjmuje obojętnie, w jakim języku przedstawia swój program miejscowy zespół amatorski, czy w jakim języku będzie rozmawiał redaktor „Niwy”. Działa tu stereotyp myślowy: po białorusku rozmawia się tylko przy „czarnej robocie”. Białorusin zawsze znał język polski czy rosyjski, chociaż nie zawsze umiał czy umie posługiwać się nim poprawnie.

W sytuacji, kiedy świadomość narodowa jest udziałem nielicznego odłamu wsi białoruskiej, wytworzyło się dziwaczne pojęcie o BTS-K i „Niwie” jako o jedynych opiekunach i inspiratorach białoruskiego życia kulturalno-oświatowego. Ba — wytworzyło się coś z pojęcia pogranicza partii politycznej. Mimo że członkiem BTS-K może być każdy bez względu na narodowość — Polacy są bardzo pożądanymi — istnieje fałszywe pojęcie, że wszystkie inne instytucje i organizacje mogą propagować wyłącznie „coś polskiego”. A przecież w tych innych instytucjach i organizacjach na tym terenie działają w większości, nieraz wyłącznie właśnie Białorusini.

Łatwo wywnioskować, że zarówno z jednej jak i z drugiej strony mamy do czynienia z brakiem odpowiedzialności, po prostu najwykleszszym w świecie wygodnictwem. Nie nowa to myśl, że BTS-K powinno w pierwszym rzędzie współpracować ze wszystkimi tymi instytucjami i organizacjami (ZMW, ZMS, ZHP, WDK, LOK, i KGW) pomagając w należytej realizacji specyficznych rozwoju mniejszościowego społeczeństwa białoruskiego, widzieć w tej pomocy sens swego istnienia. Bo BTS-K jest organizacją entuzjastów kultury białoruskiej. Ale równocześnie nie zapominajmy, że nawet takie ustawienie realizacji tej specyfiki nie złatwia jej potrzeb na Białostoczczyźnie. Tylko przesadny „autarkizm organizacyjny” zmusił mnie do powtórzenia tych dość oklepanych propozycji i to dosyć polowicznie, postulowanych jednostronnie ze środowiska białoruskiego.

Wyżycie się narodowe tych lub innych społeczności białoruskich (oczywiście: wiejskich) nie przebiega w sposób oczywisty. W danym wypadku nie chodzi o proces zwiększonego „organizowania świadomości”, jak to nazywa Jerzy Lovell. Takie określenie bardziej pasuje do narodowości o skryształizowanej, zakorzenionej świadomości narodowej, jak np. do Żydów, Niemców czy Litwinów.

Dla przykładu powiem, że język białoruski w szkołach podstawowych i średnich nie stanowi realizacji

postulatów narodowościowych poszczególnych społeczności białoruskich. Takich postulatów te społeczności nie wysuwały i — łatwiej to teraz zrozumieć — wysuwać nie mogły. Nieporozumieniem, mitem jest twierdzenie, jakoby wprowadzenie języka białoruskiego jako przedmiotu było spełnieniem powszechnych żądań. Ten przedmiot posiada przede wszystkim wielkie obiektywne znaczenie wychowawcze, ponieważ niweluje kompleks niższości, charakterystyczny wprawdzie dla każdej społeczności wiejskiej, tu jednak pogłębiany animozjami narodowościowymi czy religijnymi. Nie przypadkowo zrodziły się w pow. sokólskim tendencje nauczania w języku białoruskim uczniom klas pierwszych ze stopniowym przechodzeniem na nauczanie w języku polskim. Wiejskie dziecko białoruskie w klasie piątej jest „ogłuszone” mało rozumiałym dla niego językiem czy nazewnictwem polskim, co prowadzi do skomplikowania rozwoju jego osobowości i umysłu, wytwarza kompleksy niższości itp. Zwraca na to uwagę nasz wielki autorytet pedagogiczny prof. Suchodolski, który wprost zaleca początkowo posługiwanie się regionalną gwara — góralską, kaszubską, śląską czy mazurską — omawiając to zagadnienie w środowisku etnicznie polskim.

Spychanie języka białoruskiego do roli „uświadomionych narodowościowo” może spowodować tylko ujemne konsekwencje. Pewien przedstawiciel władz — sam Białorusin i działacz białoruski doskonale władający językiem ojczystym — zaproszony na plenum BTS-K przemawiał w języku polskim, bo takie rzekomo otrzymał instrukcje. Potem wyznał, że nikt mu takich instrukcji nie udzielał, tylko jemu osobiste wydawało się, że jako przedstawiciel władz może przemawiać tylko w języku polskim. I następny, drastyczny przykład: kierownikowi pewnej placówki powiatowej wielokrotnie dawano do zrozumienia, że z chłopami białoruskimi powinien rozmawiać tylko po polsku, bo inaczej... tu następowała zmienna cza. Na szczęście incydent zakończył się rozumną interwencją kogoś na wyższym stanowisku, co jednak wcale nie znaczy, że problem został całkowicie rozwiązany. Chodzi bowiem o wyraźne, rzecz by można „biurokratyczne” równouprawnienie językowe na terenie tego regionu narodowościowego.

Na zakończenie chcę przypomnieć postulat czasopisma „Kultura i społeczeństwo” w sprawie zapoczątkowania i rozwijania zorganizowanych badań socjologicznych w środowiskach mniejszości narodowościowych. Jakże na miejscu jest stwierdzenie Lovella: „nie wyobrażam sobie świadomej, dojrzałej polityki narodowościowej bez oparcia się na sprawdzonych, źródłowych, obiektywnych pracach z zakresu historii najnowszej”... albowiem „jeszcze te problemy nie stały się własnością społeczną”.

Sokrat Janowicz

Stojąc na stanowisku współdziałania polskich i ukraińskich mas pracujących w walce przeciwko społecznemu i narodowemu uciskowi, stale zwracał się do literatury polskiej, chętnie widząc i witając w niej pojawienie się demokratycznych i rewolucyjnych tendencji. W licznych artykułach dał ocenę twórczości Mickiewicza, Słowackiego, Gosińskiego, Asnyka, Syromkuli, Konopnickiej, Orzeszkowej, Prusa, Kasprówicza i in. Walczył o realizm w literaturze polskiej. Skrytykował dekadencją postawę Przybyszewskiego, przeciwstawiając polskiemu ekspresjonizmowi demokratyczną twórczość Konopnickiej, Orzeszkowej, Prusa i in.

Sprawie zbliżenia postępowych warstw inteligencji ukraińskiej i polskiej, walce z konserwatywno-szlacheckim stosunkiem do narodu ukraińskiego, jego kultury, Franko poświęcił powieść „Nie pytajcie brodu”, nad którą pracował pod koniec życia; pozostała ona jednak nie ukończona.

Na szczególną uwagę sławistów polskich zasługują prace etnograficzne i folklorystyczne, które częściowo pisał w języku polskim.

O autorytecie naukowym Iwana Franki może świadczyć fakt, że do książki jubileuszowej opublikowanej w r. 1913 w czterdziestą rocznicę jego działalności naukowej nadesłał prace uczeni wielu krajów europejskich.

W latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia „Kurjer Warszawski” ogłosił konkurs na powieść społeczną. Iwan Franko zgłosił udział w konkursie i w 1887 r. napisał w języku polskim „Lelum i Polelum”, powieść, w której na podstawie bogatego materiału pokazał życie

różnych społecznych warstw Galicji lat 70—80 XIX stulecia. „Powieść, na którą liczę — pisał Franko w jednym z listów — jest już gotowa... Wyszła dość obszerna... mam śmiałość twierdzić, że ciekawa. Sceny wzięte z lwowskiego życia pałacarskiego, rozprawa sądowa, sceny z wzięcia, z życia dzieci ulic, bombardowanie Luowa w 1848 r. Osądza poglądy konserwatywne inteligencji, jej niechęć do zagadnień społecznych, piętnuje tak kosmopolityzm jak i nacjonalizm, piętnuje społeczeństwo burżuazyjne, które wyrzuca dzieci-sirotę na ulicę i robi z nich przestępców. Pokazuje ciężkie życie chłopów, przeciwstawia zdrową ludową moralność cynizmowi, pasywności i samowoli klas panujących”.

Iwan Franko położył niemałe zasługi dla narodu polskiego jako działacz społeczny, współorganizator pierwszych kółek socjalistycznych w Galicji i pierwszych organizacji politycznych chłopów. Wezwał do skład „Komitetu Robotniczego”; był redaktorem gazety robotniczej „Praca” (r. 1878) wydawanej w języku polskim. Prowadził pracę propagandową wśród robotników, napisał po polsku broszurę pt. „Katechizm socjalizmu ekonomicznego”. Wspólnie z polskimi postępowymi działaczami — poetą W. Czerwińskim i socjalistą Inlenderem — napisał „Program polskich i rusińskich (ukraińskich) socjalistów Galicji Wschodniej”. W 1881 r. publikuje artykuł o charakterze programowym „Czego chce Galicyjska gromada robotnicza”. Pisał tam (po polsku): „W najbliższej przyszłości możemy się spodziewać,

że i u nas, w Galicji, będzie upozbrodzona jawnie „Gromada Robotnicza” (partia) z robotników ruskiej (ukr.), polskiej, żydowskiej i wszelkiej innej zamieszkałej narodowości i miejskiej... Był wszystkim z lasami i pastwiskami, rzekami i jeziorami należały do tych gromad, które na nich pracują, tak samo, by wszystkie fabryki i zakłady należały do tych robotników, co w nich pracują”.

W 1881 r. drukuje w polskiej gazecie „Praca” serię artykułów, wydanych później w broszurze pt. „O pracy. Książeczka dla robotników”. Przyczyniła się ona do spopularyzowania wśród robotników Galicji poglądów ekonomicznych K. Marksa i wzrostu ich świadomości rewolucyjnej. O trzy lata wcześniej w 1878 r. w kolejnych czterech numerach „Pracy” ukazał się artykuł pt. „Nauka i jej stanowisko odnośnie klas pracujących”. Był on próbą zapoznania mas pracujących z osiągnięciami naukowymi w dziedzinie nauk społecznych.

Także w języku polskim wydrukował we lwowskim dwutygodniku „Lud” w 1895 r. szereg prac m. in. „Najnowsze kierunki w kwestii narodowej”.

W czasie kilkudziesięciu lat Franko utrzymywał przyjacielskie stosunki z wieloma Polakami (m. in. z Bolesławem i Marią Wyslouckimi, B. Limanowskim, W. Czerwińskim, Ignacym Daszyńskim, J. Kasprówiczem, G. Biegeleisenem, L. Wasiliewskim). W archiwum pisarza są listy pisane do niego przez A. Świętochowskiego, S. Żeromskiego,

A. Niemojewskiego, P. Krzewickiego, E. Orzeszkową i in.

W pierwszym tomie „Memoriałów” J. Daszyńskiego czytamy: „W Drohobyczu zapoznaliśmy się z najslawniejszym ówczesnym socjalistą ukraińskim Iwanem Franką... Wszystkie nasze spacery sprowadzały się do rozmów o socjalizmie. Zachęcałem się jego lotnością umysłu...”. A Leon Wasiliewski w swoich wspomnieniach (1932 r.) o Iwanie France pisze, że „rozmowa z nim prawie zaślepiała mnie. Wiedziałem, że będę miał sprawę z wybitną osobą, z osobą wielkiego umysłu, wszechstronnie oświeconą, jednak rzeczywistość daleko wyprzedziła moje wyobrażenia. Siędziałem u Franki półtorę godzinę, uważnie słuchając jego wypowiedzi i wywodów o stosunkach w Galicji, zachwycając się ich głębokością i ścisłością”. Nie bez podstaw prof. M. Jakubiec zalicza Iwana Frankę „do najbardziej oświeconych i najkulturalniejszych pisarzy całej Słowiańszczyzny”.

Z Janem Kasprówiczem łączyły Frankę bardzo bliskie, przyjacielskie stosunki: „...kolegowaliśmy ze sobą w redakcji „Kurjera Luowowskiego”... jeździłem z nim na ryby, odwiedzałem jego rodzinną wioskę” — pisze Jan Kasprówic.

O popularności Iwana Franki wśród postępowej inteligencji i studentów polskich najlepiej świadczy rezonans rozgłoszonej przez nacjonalistów i burżuazję polską kampanii przeciwko France. Za pretekst posłużył jego artykuł pt. „Poeta zdrady”, w którym pod pozorem rozważań literackich nad poematem

Mickiewicza „Konrad Wallenrod” autor demaskował podstęp szlachty i burżuazji polskiej wobec własnego narodu. Polska prasa szovinistyczna oskarżyła Frankę o niewierność do Polaków. W jego obronie wystąpiła postępową polską inteligencją Krakowa i Lwowa. W specjalnie wydanej broszurze „Głosy polskiej młodzieży akademickiej w sprawie dr Iwana Franki” oświadczono, że atak na pisarza jest napadem na ruch rewolucyjny, którego przedstawicielem jest Franko, że wrogowie dawno czekali na sposobność „by opluć i zniszczyć człowieka, który będąc Rusinem — uszedł i zawsze podawał nam szczerą, braterską dłoń do zgody i współpracy, a czatowali na niego tylko dlatego, że pojmował postęp nie jako zabawkę, nie jako straszdyło na wróble, ale szczerze dla niego pracował — prawdą jest, na szkodę pewnej części naszej społeczności, ale nigdy nie na szkodę naszego narodu”.

Franko bardzo wysoko cenił Adama Mickiewicza i przetłumaczył na język ukraiński wiele utworów, w tym „Petersburg”, fragmenty z III części „Dziadów”, „Do przyjaciół Moskwi”, „Do Matki Polki”, „Reduła Ordona”, „Czaty”. Ponadto napisał pracę „Adam Mickiewicz w literaturze ukraińskiej”.

Iwan Franko będąc przyjacielem Polaków wiele razy podkreślał, że przyszłość wolnej Polski jest możliwa tylko w granicach etnograficznych, pod warunkiem zwroczenia jej przastarych ziem na zachodzie, zrabowanych przez Niemców.



# Ofelia

I

Na cichej czarnej fall, gdzie gwiazdy migoczą,  
Biała płynie Ofelia jak kwiat lilii biały.  
Powoli płynie w sukni lekkiej i przeźroczej...  
— Z dalekich lasów rogi myśliwskie zabrzmiały.

Tysiąc lat już minęło, gdy Ofelia błąda  
Jak biała zjawia płynie wzdłuż rzeki upiornej,  
Tysiąc lat już dziewczyną cichy obłąd władca,  
Co każe jej się skarżyć powiewem wieczornym.

Wiatr caluje jej piersi i rozchyła suknie,  
Której tren długi cicho się w wodzie kołysze;  
Wierzyby płacząc i gnąc się ku jej ręką smutnie,  
Nad czołem rozmarzonej chyła się komysze.

Pomięte nenufary oddychają nad nią;  
Ona płynie — na olsze zbudzi czasem gniazdo,  
Skąd nagle zatrępcze jakiś ptak bezradnie:  
— Pieśń tajemniczą z nieba sączą złote gwiazdy.

II

Biała, biała Ofelio, piękna niby śniegi,  
Tak, ty, dziecko, umarłaś, rzeka cię unosi!  
— To dlatego, że wiatry z wielkich gór Norwegii  
Cichutko ci szeptały o cierpkiej wolności;

Ze wietrzyk potargawszy twoje długie włosy  
Marzeniem twym przynosił nieznajome dźwięki;  
Ze lubiała w Natury się wsłuchiwać głosy,  
W noce ciemnej westchnienia, w drzew żalose jęki.

Ze głos mór rozszalałych, ich charkot straszliwy  
Zranił twe serce, dziecko, zbyt ludzkie, zbyt miękkie;  
Ze w pewien dzień kwietniowy rycearz urodziwy,  
Bledny szaleniec, mierzając w twoich nóg klęknął.

Niebo, Miłość i Wolność! O szalona głowo!  
W marzeniu tym topniałaś niby śnieg na słońcu;  
To wizje te zdusiły w twoim gardle słowo  
— I nieskończoność oczy twe zaćmiła w końcu.

III

I poeta powiada: gdy gwiazdy migoczą,  
Przychodźsz szukać w nocy kwiatów, któreś rwała,  
I że widział, jak w sukni długiej i przeźroczej  
Biała płynie Ofelia niby lilia biała.

Przełożył

Kazimierz Andrzej Jaworski

# Poezja serbo-chorwacka

MILOŠ CRNJANSKI  
(ur. 1893 r.)

## Wspomnienie

Przypominam sobie, że była  
nieowinna i zgrabna,  
i że jej włosy były  
cieple niby czerń jedwabna  
na obnażonej piersi.

I że do rana nam pachniały  
białe kwiaty akacji.

Przypadkiem ze smutkiem wspomniałem,  
gdyż kocham;  
więc zamknę oczy oniemiały.

Gdy akacja za rok zapachnie znówu,  
któż wie, gdzie zawędruję.

Pośród ciszy czuję,  
że o niej nie mogę wspominać już więcej  
nigdy ni słowem.

(Priča)

ALEKSANDAR VUČO  
(ur. 1897 r.)

## Narodziny

IV.

Istnieją dalekie niwy zranione głęboką  
brudą

Z nadejściem jesieni jako myśli dojrzewają  
Sercem wstrzymujemy spadanie dojrzających  
owoców

I później niech nie zamąca jasności naszych  
spojrzeń

Oto pokonałem noc w blasku gwiazdnej  
mgławicy

Tu marzyłem pierwszy raz pod strzechą  
miękkich obłoków

Jeśli nie będę jak dziecko czysty niech serce  
ulegnie

Wśród życia poprzez modre źródło jego  
cierpień

Istnieją głębokie ślady na chłodnych  
rozdrożach gołębico  
Jesteśmy w mroku nocy jak drzewa długimi  
rzędami  
Jesteśmy biali wśród nocy jak kwiaty  
dotknięte niewinnych  
Skloniłmy głowy z myślą, że głębiej  
będziemy sami  
(Katanja, IV)

MIODRAG PAVLOVIĆ  
(ur. 1928 r.)

## Wołanie trzeba powtórzyć

III.

Gdzie zamieszkamy, gdybyśmy przeżyli,  
jeżeli z domów pozostaną doły?  
Czy będziemy mogli ominąć to pustkowienie,  
aby w drodze przyjęć narodzone dziecko?

Czy ktoś zostanie jeszcze by zawołać  
w nocy, kiedy zwierzęta zjadą się w milczeniu  
u źródła i nigdzie nie będzie słyszana  
mowa człowieka ukryta w jaskiniach?

Czy może ocaleć oswojona ziemia,  
aby nie spotworniała pod uściekłym  
kopytem?

czy jej zielonej twarzy nie pokryje sadza  
w ostatni poranek z grobami bez grabarza?

Czy nasze niebo uchroni przed rozbięciem  
odwieczne z kryształu naczynia światłości?  
Czy można by uniknąć nam przerozowania  
głów, ludzkich ciemion odłamkami bomby?

Czy może się zatrzymać krew w pociętych  
żyłach,

aby nie tętniła we wstrząsanych sercach,  
co ciągle dziedziczone są przez lat miliony  
po tych, którzy nas mocno, najbardziej  
kochali?

Przełożył z serbo-chorwackiego  
Edward Zych

# »Zawadiacka« Gielczew

**P**OWYKRĘCANĄ w esy florey drogą wije się pomiędzy faldami ziemi, wspina się mozolnie po stoku, to znów zapada w głęboki wąwóz. Zgrzyta ją na wybojach wszystkie niemal tryby i ścięgni naszej „Warszawy”. Z tyłu wlecie się leniwie kurz, przelika między drzewa, wciska się do samochodu. Plach trzeszczy między zębami.

Towarzyszy nam sekretarz powiatowy ZSL w Bychawie — Leszek Maksymiuk.

Kierunek — Gielczew.  
— Na zabawach tłuką się tam na śmierć — mruczy sekretarz. — Ostatnio porzucił się kosami. A babki — jak „herody”. I do tego wszystkie rude! Co tam oglądać?

No i Gielczew. Wita nas starymi chałupami, malowanymi na niebiesko. Lepianki stoją opodal drogi, wełniste w zieleni ogrodów, schowane wstydliwie. Zakurzona droga, zacieniona starymi pniami akacji i kasztanów, sprawia wrażenie alei parkowej. Środkiem drogi złączeni w uścisku kroczą dwaj młodzieńcy. Wyją: „Maryśka, więc gotuj pierogi, bo Franek się budzi ze snu”. Podchmieleni trubadury są tak zafascynowani swoim głosem, że nie reagują na klakson. Musimy omijać ich rowem.

## Z POWODU KOBIECI

Przed domem siedzi dziewczyna. Długie, cynobrowe włosy oplatają jej wiotką szyję. Ma niewiele ponad 20 lat. To właśnie jej narzeczonego pobito onegdaj na zabawie. Zaczęliśmy rozmowę. Z mieszkania wyszedł ojciec. Dziewczyna była wyraźnie zadowolona.

— Wstyd o tym mówić!  
— Wstyd? Dlaczego?  
Rudzielec wybuchnął histerycznie:

— Dać się tak nabrać? To hańba! Wszyscy we wsie się tera śmieją. Oczu nie mam gdzie podziąć.

— Jo ci mówię, że to nie lo ciebie partyja! — wtrącił się ojciec. Ludność w Gielczew jest z natury wojownicza. „To taki dziki szczerp” — powiedziano mi w powiecie. Istotnie. Gielczewianie są potomkami Tatarów. Jeszcze w XVII wieku osiedlił ich tutaj król Jan III Sobieski. Charakterystyczne, że dziś wszyscy niemal mieszkańcy wsi mają rudy kolor włosów, a okolice gromady nazywają ich „żółtymi bruchami”.

Gielczew jest osadą tatarską. Pobliski zaś Krzczonów uważał się za wieś kró-

lewską „przywilejowaną. Nosili się wyżej, patrzyli z pogardą na „Tatarów”. To jeszcze bardziej rozdrażniało i tak bitkich gielczewian, narastał antagonizm. Gielczew stała się rejonem zamkniętym. Wstęp obcym na teren wsi był surowo wzbroniony, kto się pokazał, dostawał cieżki. Siali także postrach w okolicznych gromadach. Gdzie się pojawili, tam dochodziło do bijatyk. Gdy zabrakło obcego, tłukli się między sobą.

— Kilkadziesiąt osób zginęło w Gielczewi od bójek — powiedziano mi w komendzie milicji. — To bilans przed- i powojenny. Nie licząc okupacji. W czasie wojny wszyscy mieli broń. Strzelali się wzajemnie. O byle co. O miedzę, o dziewczynę...

A kobiety? Typ awanturnika, skłonego „do bitki i wypitki”, takiego, co to nie da sobie „w kaszę nadmuchać”, był od stuleci wymarzoną idealną gielczewskiej kobiety. Do dziś bija się więc gielczewianie dla kobiety i o kobiecie.

We wsie jest świetlica. Miesi się w szkole. Posiedłem. Zastaliśmy kilka respektowanych dziewcząt. Pod ścianą stał telewizor. Niestety, popsuły. W kacie rumowisko połamanych krzesel.

— To chłopcy lubowali! — powiedziałła nauczycielka, pochwytywszy mój wzrok. — Polamali krzesła. Telewizor też popsuł. Bili się tutaj.

— Z takiego awanturnika to i mąż na nic, co? — spytałem podstępnie. Dziewczyna zaprzeczyła się. Była nawet ładna w tym swoim zastraszonym.

— Eee! Tego nie powiedziałam. Lepszy awanturnik, niż maminsynek.

— Maminsynek niech w domu siedzi — wczynała się łuna. — Po co nam umarłaki?  
— Facet musi mieć wykop!

Zrobiło mi się słabo. Wyszędłem. Idąc przez wieś uprzytomniłem sobie nagłe, że w mentalności tych dziewcząt niewiele się zmieniło od czasów króla Jana. Niezbyt odległe zresztą są jeszcze czasy, kiedy panna szła do ołtarza tylko z takim partnerem, który posiadał na swoim koncie bijatyki. Zabójca jeszcze bardziej liczył się na rynku matrymonialnym. Niedawno w jednej z zagrod dobijano takich oto targów między ojcem panny, a kandydatem na męża:

— Siedział ty we więzieniu? — pytał ojciec panny.  
— A siedział!

— Za co?  
— Bilił my się na zabawie. No i ta — wzięni potem do kozy. Ale że ja mu przyrznił tedy nielicho. Ino pręciłem. A on ścierwo we szpitalu leżał.

Na rozprawie sądowej wyszło na jaw, że ten „Ino pręcił” był szcztetką. Wojownik powędrował za kratki, ale potem miał doskonały argument wobec teścia. Para poszła do ołtarza.

Inny obrazek. We wsi była zabawa.

Dziewczyna przyszła ze swoim narzeczoną. Ktoś z boku poprosił ją do tańca. Jeszcze nie skończono piasów, kiedy obydwa młodzieńcy skoczyli sobie do gardeł. Najpierw bili się na sali. Potem wytoczyli się na podwórzu. Tłukli się kolkami. Scałacie tej przygładali się uczestnicy zabawy, przyglądała się i panna. Nikt nie interweniował. Nieprzypadkowo zabrał kompani. Panna poszła za zwycięzcą.

— Ktoś z boku poprosił ją do tańca. Jeszcze nie skończono piasów, kiedy obydwa młodzieńcy skoczyli sobie do gardeł. Najpierw bili się na sali. Potem wytoczyli się na podwórzu. Tłukli się kolkami. Scałacie tej przygładali się uczestnicy zabawy, przyglądała się i panna. Nikt nie interweniował. Nieprzypadkowo zabrał kompani. Panna poszła za zwycięzcą.

— Ktoś z boku poprosił ją do tańca. Jeszcze nie skończono piasów, kiedy obydwa młodzieńcy skoczyli sobie do gardeł. Najpierw bili się na sali. Potem wytoczyli się na podwórzu. Tłukli się kolkami. Scałacie tej przygładali się uczestnicy zabawy, przyglądała się i panna. Nikt nie interweniował. Nieprzypadkowo zabrał kompani. Panna poszła za zwycięzcą.

— Ktoś z boku poprosił ją do tańca. Jeszcze nie skończono piasów, kiedy obydwa młodzieńcy skoczyli sobie do gardeł. Najpierw bili się na sali. Potem wytoczyli się na podwórzu. Tłukli się kolkami. Scałacie tej przygładali się uczestnicy zabawy, przyglądała się i panna. Nikt nie interweniował. Nieprzypadkowo zabrał kompani. Panna poszła za zwycięzcą.

— Ktoś z boku poprosił ją do tańca. Jeszcze nie skończono piasów, kiedy obydwa młodzieńcy skoczyli sobie do gardeł. Najpierw bili się na sali. Potem wytoczyli się na podwórzu. Tłukli się kolkami. Scałacie tej przygładali się uczestnicy zabawy, przyglądała się i panna. Nikt nie interweniował. Nieprzypadkowo zabrał kompani. Panna poszła za zwycięzcą.

— Ktoś z boku poprosił ją do tańca. Jeszcze nie skończono piasów, kiedy obydwa młodzieńcy skoczyli sobie do gardeł. Najpierw bili się na sali. Potem wytoczyli się na podwórzu. Tłukli się kolkami. Scałacie tej przygładali się uczestnicy zabawy, przyglądała się i panna. Nikt nie interweniował. Nieprzypadkowo zabrał kompani. Panna poszła za zwycięzcą.

— Ktoś z boku poprosił ją do tańca. Jeszcze nie skończono piasów, kiedy obydwa młodzieńcy skoczyli sobie do gardeł. Najpierw bili się na sali. Potem wytoczyli się na podwórzu. Tłukli się kolkami. Scałacie tej przygładali się uczestnicy zabawy, przyglądała się i panna. Nikt nie interweniował. Nieprzypadkowo zabrał kompani. Panna poszła za zwycięzcą.

— Ktoś z boku poprosił ją do tańca. Jeszcze nie skończono piasów, kiedy obydwa młodzieńcy skoczyli sobie do gardeł. Najpierw bili się na sali. Potem wytoczyli się na podwórzu. Tłukli się kolkami. Scałacie tej przygładali się uczestnicy zabawy, przyglądała się i panna. Nikt nie interweniował. Nieprzypadkowo zabrał kompani. Panna poszła za zwycięzcą.

— Ktoś z boku poprosił ją do tańca. Jeszcze nie skończono piasów, kiedy obydwa młodzieńcy skoczyli sobie do gardeł. Najpierw bili się na sali. Potem wytoczyli się na podwórzu. Tłukli się kolkami. Scałacie tej przygładali się uczestnicy zabawy, przyglądała się i panna. Nikt nie interweniował. Nieprzypadkowo zabrał kompani. Panna poszła za zwycięzcą.

— Ktoś z boku poprosił ją do tańca. Jeszcze nie skończono piasów, kiedy obydwa młodzieńcy skoczyli sobie do gardeł. Najpierw bili się na sali. Potem wytoczyli się na podwórzu. Tłukli się kolkami. Scałacie tej przygładali się uczestnicy zabawy, przyglądała się i panna. Nikt nie interweniował. Nieprzypadkowo zabrał kompani. Panna poszła za zwycięzcą.

— Ktoś z boku poprosił ją do tańca. Jeszcze nie skończono piasów, kiedy obydwa młodzieńcy skoczyli sobie do gardeł. Najpierw bili się na sali. Potem wytoczyli się na podwórzu. Tłukli się kolkami. Scałacie tej przygładali się uczestnicy zabawy, przyglądała się i panna. Nikt nie interweniował. Nieprzypadkowo zabrał kompani. Panna poszła za zwycięzcą.

rzeczy straszne. Proszeni nie mieli prawa ruchu. W trakcie biesiady odbywały się bójki. Bili się potężnie, rżnęli się. Rozpędzali całe wesela. Niejedna do piachu poszła.

— Co było kością niezgody? — pytam trochę naiwnie.  
— Czort wie, co. Nieraz sprawy zadawione, miedza, dziewczyna...

## „ZŁAZ PANNI!”

Jechałem z oficerem milicji. W 1954 roku likwidował on tutaj bandę rabunkową Jana Teterycza.

— Była to ostatnia w Gielczewi — opowiadał oficer. — Teterycz należał do słynnej bandy Kopaczewskiego. Po rozbięciu Kopaczewskiego, znanego mieszkalcem pod pseudonimem „Lew”, Teterycz zorganizował nową bandę. Zlikwidowaliśmy ją. Przed wojną — ciągnął oficer — było tutaj dziewięć gangów. Bili się między sobą. Terroryzowały ludność. Kopaczewski i Teterycz chcieli nawrócić do łamtych tradycji. Nie udało im się.

Gielczew liczy ponad 600 komińców. Przed wojną wieś należała do najbardziej przeludnionych w powiecie. Ludzie umieli się na szczupłych gospodarstwach i klepałi biedę. Starsi wspominają dziś często tamte czasy. Kiedy to bochen chleba trzeba było chować przed dziećmi wysoko na piecu, by go szybko nie zjadły. To pecha wielu ludzi na drodze przestępstwa. Bandytym i zbrodniczością przybierały zastrasające formy. Ludzie pilnowali dobytku śpiąc w oborach, zboże ginęło prosto z pola.

— Kiedyś kradłem, bo był sezon. Była niedza. Ale dziś czasy się zmieniły. Mam dwóch synów, im nie pozwolę kraść. Bo mają zła zarobki.

Nedza wycisnęła srogie piętno na psychice mieszkancom. Tradycje walki o majątek są po dziś dzień dość żywe. Stosunkowo niedawno jeszcze doszło we wsie do swego rodzaju inkwizycji na tym tle. Zawarto związek małżeński, nawet jak na warunki gielczewskie, złoła niecodziennie. Panna była biedna, lecz urodziwa, a kawaler bogaty, chociaż niedorozwinięty i kaleki, z urazami wodogłowia. Przyprawiali go ojciec panny. Dziewczyna siedziała na piecu.

— No, zła, panna!  
— A co tata?  
— Chcesz?

— Jak tata i mama chce — to i ja też.

Z niedzy wydobyla chłopów reforma rolna. Część rodzin otrzymała działki na terenie kolonii Wysokie. Uprzemysłowanie kraju i województwa zaczęło powoli wyciągać zasiedziały chłopów z domów. Wielu młodych ludzi wywedrowało do Lublina, znajdując zatrudnienie w FSC. Oni pierwsi otwarli w

Gielczewi okno na świat. Potem chłopcy zaczęli szukać możliwości uzyskania większych gospodarstw wiele rodzin wyjechało do województwa koszańskiego, ok. 80 rodzin osiedliło się w woj. gdańskim. Młodzież poznała inne życie, zetknęła się z nową kulturą. Odpowiedziałą dziś rodzinną wieś i wyśmiewają stare porządki.

Rozmawiałem z młodym pracownikiem z FSC, który przyjechał właśnie na urlop.

— Było nas jedenasto w domu — mówił. — Wszyscy dziś pracują. A tu na wsi, co by z nas było! Miedziez tutaj nie bardzo chce się uczyć. Oni wolą się kowbieli.

Kawalerka wiejska jest nieprzejednana. Oto co mówi jej przedstawicielka: — Szkoła? Co mi to da! I tak będę żyła. Mój ojciec też nie zginał z głodu. A tu z chłopakami weselo...

Przewodniczący gromadzkiego koła ZSL, z którym rozmawiałem o tych sprawach, robił pobieżny obrachunek: — Szkole średnia ukończyło może trzy albo cztery osoby. Jedna tylko poszła na wyższe studia. A wieś jest duża. Ponad trzy tysiące mieszkańców.

Szliśmy przez wieś. Po drodze spotkaliśmy głuca w postrzępionym drewnie. Kopał łopatą ziemię. Mówił, że tu jest kopalnia chleba. Kolo nas przystanął jakiś człowiek i widząc nasze zainteresowanie, rzekł: — Wielu takich tutaj jest. Ale unego się nie bójta. Un spokojny ta wariat. A som ścierwa źleje.

## „ZMARNIOL NARÓD”

Na progu przed domem siedział starzec. Siwe włosy opadały na kolnierze. Brodę oparł na łasce i tak tkwił w zadumie. Miał zadziwiająco spokojny wyraz twarzy. Wydawało się, że świat go już nie interesuje. Przystanąłem. Zagadnąłem go o dawniejsze czasy. Stary poruszył się żywo.

— Zmarnioli naród — chrząknął starzec. — Za mojej kawalerki liczyli się z nami wszędzie. Niejedno weselo rozognieliśmy. A tera co? Zgranio takiego ni ma. Tradycjo w narodzie ginie.

Byłem tego dnia na zabawie. W pewnym momencie zrobiło się zamieszanie. Orkiestra przestała grać. Thum odsunął się pod ścianę. Na środku sali dwaj „apasze” szczyrzyli do siebie zębami. Z boku stał stary człowiek.

— Ale głupie cholery! — Powiedział patriarcha, — Chcesz się błąć szczeniak — pójdziesz siedzieć! Nie lepiej, żeby ciebie kto uderzył pierwszy? To ci jeszcze forsa da. Odszkodowanie. Niejedni już bulili.

Słowa nie docierają do środka sali. Zacietrzewiony wyrostek zrzuca marynarkę, całiska pięści, doskakuje do przeciwnika. Ten o głowę wyższy, ręce mu wiszą jak dźwigi. Odpycha pijanego.

— Chłopie, ja cię nie chcę bić. Ja bym cię tu zakatrupił. Ja żem już nie takim chojrakom schaby rachował. Ale ja chcę cię pokochać, a nie bić. Ja wiem, jak to we więzieniu jest...



— Starzy Cyganie nie mogą się przyzwyczalić do trybu życia osiadłego. Ich życiem i marzeniem jest las, poza nim nie widzą. Są wypadki, że z tęsknoty za lasem starzy Cygan zapada na ciężką chorobę. Cygan żyjący sześćdziesiąt lat z tęsknoty za lasem ciężko zachorował i po dwu tygodniach choroby — zmarł. Są jeszcze inne wypadki, że Cyganie ciężko chorują za lasem...

Nie chcieliśmy zaprzeczać, że to nie las żywił Cyganów i nie on ich ogrzewał. Nawet dzieci wiedzą, jaka to wielka nieprawda. Zmartwilimy się natomiast chorobą. Zaczęliśmy pytać lekarzy, zwracaliśmy im głowy naszą ciekawością, czy to prawda? Mówili — nieprawda! Szukaliśmy sami tych chorujących. Może chorują w tajemnicy? Żeby nie skłamać, to musimy powiedzieć rzetelnie, że owszem, znaleźliśmy ich, wielu znaleźliśmy. W cygańskich mieszkaniach rozmawialiśmy z cierpliwymi. Pewnie i wy pamiętacie te nasze rozmowy, boć to wasi najbliżsi, ci chorujący. Mieli wtedy bardzo zmęczone twarze. W izbach drapał nam nozdrza ostre zapach lekarstw. Chorowali naprawdę. Nie ma co kpić z ludzkiego cierpienia, ale należy je poznać i pomóc, jeśli to tylko jest możliwe. Lekarze to czynią. Bo przecież gruźlica to jest poważna choroba, wrzody na żołądku — także, a reumatyzm, astma i co tam jeszcze — też nie wesołe. Choroby te zagnieździły się w ich ciałach dość dawno, w lesie, w przeciekających podczas deszczu namiotach, z marnego odżywiania, słowem z tego wszystkiego, co mógł dać tabor. Taką jest prawda i chociaż nie miła, nie ma co jej ukrywać.

Ale co na to wy, cygańskie kobiety? Mówcie! Mówcie, czy wy także chcecie nieść swoje dzieci w leśny mech, wilgotny i zimny? Czy was także ogłupia tęsknota za taborom, który, powiedzmy sobie szczerze, nie przeżyłby bez was ani tygodnia?

Cyganka opowiada:  
— Czy w lesie, myśli pan, to był taki raj? Żeby dać jeść dzieciom, to musowo było od rana chodzić i prosić. Jakby Cyganka nie wróżyła to i Cygan by nie zarobił... Co ja mam z tego wszystkiego? Żyłaki na nogach, nogi mam chore... Tyle, że człowiek się przyzwyczail.

Zaś inna Cyganka:  
— Bida w domu, patrzcie, panie, jakie to życie! Nieraz i pies ma lepiej.

— Mąż pracuje?  
— A już! Nie chce pracować...  
— Chory może?  
— Zdrowy, gdzie tam chory...  
— To czemu nie pracuje, przecież coś musicie jeść?

— A co ja, kobito, z chłopem poradzę? Zaden Cygan nie chce pracować i tyle. Co ja mogę zrobić? Muszę chodzić, bo inaczej to byśmy pomarli z głodu. Nie ma rady na chłopca... Mój z początku chodził do roboty na drogach, ale rzucił robotę. Był ciężko i mało płacił... Pytacie, panie, czy nam lepiej? Mnie tam wszystko jedno, tyle, że mam to mieszkanie. Ano i dzieci chodzą do szkoły, to jest dobre, niech chociaż dzieci nie będą takie głupie, jak ja.

Jeśli już dojść z wami do szczytowości, to każdej po kolei jest niby wszystko jedno, gdzie się znajduje. W lesie czy tu, we własnym mieszkaniu. Dla was podobno niewiele się zmieniło. Zaledwie macie mieszkanie, a dzieci naukę. Jeśli nawet tylko to, czyż to jest mało? Niektóre narzekają:

— Gdyby jeszcze Cyganie zaczęli pracować...

Słusznie, lecz kto ich do tego ma nakłonić? Podpowiadacie — władza! Chyba jednak mylicie się bo władza, skoro już o niej mowa, proponuje pracę każdemu, kto wyraża do pracy ochotę. Owa władza ma też obowiązek nie pozwalać kraść, wyłudzać, łamać przyjęte przez ludzi prawa. I nie pozwala. Więc powróćmy pytanie, kto ma nakłonić Cyganów? Kto ma do tego większe prawo, jeśli nie wy, cygańskie kobiety?

Człowiek rodzi się z rękami do wykonywania różnych czynności, tylko nie do przywiązania cudzego trudu. O tym niby każdy wie. Rodzi się człowiek z rękami jednakowej długości, więc to nie prawda, że wasze są nierówne, co nie pozwala pracować. A jeszcze komu jak komu, ale wam, Cyganki, lenistwo jest od dziecka obce. Tyle tylko, że nie zawsze to, czym przyszło się wam zajmować, było i jest uczciwe.

Przypominam sobie zdarzenie bodajże z Krańnika. Cyganka pracowała w szpitalnym ogrodzie. Chwalił ją wszyscy za rzetelną robotę. Któregoś dnia ludzie zobaczyli, jak wracając po pracy, kupowała w kiosku dwa pomidory. Dziwili się, jak ona te dwa pomidory rozdzieliła na gromadkę dzieciaków. Był koniec lata, pomidory wtedy kosztowały bardzo tanio. Cyganka po prostu nie miała pieniędzy. Mogła brać z ogrodu, niekiedy jej tego nie zabronił. Wstydziła się prosić. Poszliśmy do niej zapytać, czy prawda z tym kupowaniem. Nie zaprzeczyła. A kiedy na podwórzu słuchaliśmy gorzkich cygańskich żalów, włączyła się do rozmowy:

— Ja się nie boję żadnej roboty — mówiła z właściwym sobie uniesieniem w głosie. — Pójdę nawet ziemię tymi palcami orać, ale niech idą wszyscy, niech będzie sprawiedliwość. Ja uczciwie zarabiam dla swoich dzieci, wcale łatwo mi nie jest. Nie ma kto u mnie pracować, ja wdowa. No dobrze, ale jak ja wdowa to muszę kraść? A co robią inni? Proszę bardzo, nie nie robią, hulają i kieszonki u nich wypchane pieniędzmi. Jak już jest takie prawo, że Cyganie nie będą jeździć, to czemu nie ma takiego, żeby ich wszystkich zapędzić do roboty? No czemu?

Wy mówicie — kamlipen! Mniej więcej znaczy to — miłość! W słowie miłość jest bardzo ludzka, upragniona treść. Wobec tego i wasz kamlipen to powinna być miłość. Taka, która każe pomagać drugiemu człowiekowi i także taka która przynosi chwile tkliwości, kiedy zmrok wieczoru omota tuje dwoje ludzi... A jakże to u was jest, Cyganki? O miłości rozpowiadacie za pieniądze, dlatego chcecie, by wam uwierzono, że zjawila się nagle w talli kart, których — o ironio! — nie rozkładacie jednak nigdy dla siebie. Wróżba bowiem to wyuczony wiersz, ułożony tak, by zawsze był prawdopodobny, czasem nawet bywa prawdopodobny. Kamlipen z kart wciąż jest łaskawa, płacą wam za to. Inaczej wygląda ona w waszym życiu. Przyjrzyjcie się szramom na swoich plecach. Dlaczego, powiedzcie, cygańska kamlipen jest przygluszona świstem bata? Pewnie to dlatego, że wasze falujące kiecki posiadają nieczystą moc, jakby na ten przykład uszyte były z diabelskiego jakiegoś płótna. Niechże która dotknie choćby rąbkami spódnicy misiki czy talerza, to przecież żaden Cygan nie zechce już nigdy z nich jeść. Nie wolno! Ko-

dał nam Cygan, który jeździł z tym samym, co Cehindy, taborom. Kończyło się lato, zaczynał dokucać jesienny chłód. Las szumił, mgłowi w głowie również szumiło od wódki, kiedy do budy wróciła Cehindy. Była w ten dzień chora.

— Nareszcie przyszłaś, suko! A mnie tu smutno bez ciebie. A jak mi smutno to ty mi zaśpiewaj!

— Daj spokój, słaba jestem jakaś...  
— Śpiewaj!  
— Innym razem, dziś nie mogę...

Cygan zabalgotał pod nosem, przeużył zębach jakieś bluźnierstwo, oparł nogę o nogę, zdjął buta z przybitą na obcasie podkówką. Od uderzenia upadła na kolana. Drugą, obutą nogą kopał w brzuch. Co mogła, waszym zdaniem zrobić? Plakała i... śpiewała.

Rano wypędził ją do miasta kraść. Przywlokła się do lasu znowu pod wieczór. Cygan siedział przy ognisku razem z innymi. Wrzasnął:

— Nie puszczę cię do budy, suko, śpij w krzakach!

Chciała coś powiedzieć, nie zdążyła. Chwylił płonące polano, rzucił jej w twarz. Po-

czy później musiał zabrać się do roboty i to właśnie zwyczajnie. To po to on tak mówi, a was jego słowa nie obrażają przypadkiem? Dzielcy — powiada — jak zwierzęta!

Tymczasem wejźmy jeszcze raz w pierwszą z brzegu drzwi cygańskiego mieszkania. W schłodzonej izbie stoi kilka skromnych mebli, ofiarowanych przez ludzi. Na własne w tym domu jeszcze za wcześniej.

— Proszę, proszę do środka — uśmiecha się dziewczyna...

Na podłodze bawi się grubiułkie cehaworo, cygańskie dziecko o tyle nietypowe, że na głowie sterca mu zupełnie białe loczki. Dziewczyna szybkimi ruchami nakłada mu czerwone bućki, żeby nie zauroczył. Jest przesadna. Ma lat siedemnaście i jest już mgłątką. W gęździe wołają na nią — Szarlotka. Urodziła dwoje dzieci. Pierwsze umarło w lesie.

Przy okazji powiedzcie, cygańskie kobiety, jeśli potraficie powiedzieć, ile waszych dzieci umarło w lesie? Nikt tego nie liczył, to jest jasne. Wystarczy jednak zapytać matek, które tam rodziły. Powiedzą każda za siebie. Włosy się zjeżdżają na głowie od tego, co powiedzą...

Drugie cehaworo Szarlotka ma dopiero nie więcej niż pół roku. Właśnie dziś dostała zastrzyk przeciw krzywicy. Rozwija się dobrze. Mamusia niepokoi się jednak, bowiem dziecko ma skazę.

— Nie pomagają żadne maści, niech pan powie z czego to może być? Może mleko od krowy mu szkodzi?

Więc pójdzie jeszcze raz do lekarza, zna dobrze panią doktor, spotykają się na takich tam pogawędkach dla kobiet. Pani doktor opowiada ciekawe rzeczy, o których Szarlotka nigdy przedtem nie słyszała. Bo łaskąd! Drzewa nie szumiły na ten temat w żadnym lesie. Ani jej mąż nie słyszał, no to opowiada mężowi, a ten bardzo cieszy się z mądrości żony... Co do dzieci, to mają już swoje postanowienie. Chcą mieć dwoje albo troje. Na razie niech rośnie to jedno, trzeba je wychować a oni są jeszcze bardzo młodzi... i niezamożni.

To jest małżeństwo tak jakby nie cygańskie. Żyją bardzo zgodnie. Taką opinię głoszą sąsiedzi. I znowu to, o czym mówimy, jest bardzo zwyczajne, jednakże wy, Cyganki, dobrze rozumiecie że dla tych dwojga owa zwyczajność jest nowym zupełnie życiem, odwróceniem twarzy w całkiem przeciwną stronę.

Zostawmy mieszkanie Szarlutki. Widzieliśmy — jakoś dziwnie nie pasuje ono do tego wszystkiego, co powiedział dawny wójt taboru.

# NIEWOLNICE

blece skalanie, mageripen co? Pies pożyteczny zwierzę, aleć przecie nie człowiek, no więc pies to może wsadzić nos do garnka ze strawą i Cygan na to nie plunie, zje! Ale wasze spódnice — parszywe!

Znacie ostre smagnięcia bata być może i dlatego, że odkąd Cyganie są Cyganami, żadna z was nie ma prawa usiąść przy stole, jeśli przypadkiem siedzą już przy nim mężczyźni. Z jakiejże ludzkiej przyczyny zgadzacie się na taki obyczaj, Cyganki urodzone w kraju, w którym kobiety zasiadają w rządzie, kierują mądrymi maszynami, leczą ludzi i mają prawo być szczęśliwe?

Nasłuchaliśmy się tu i ówdzie skąpych cygańskich zwierzeń a teraz możemy je głośno przypomnieć, żeby ludzie wiedzieli, z jakiej gliny są utoczone wasze smagłe ciała. Nie tak bardzo dawno, może dwa a może trzy lata temu, chciał Cygan — ojciec wydać córkę zamąż. Zdarzyło się — przyjechał ktoś w swaty. U was się jeździł w swaty. Przyjechał tak, jak do sklepu. Cyganie pili, handlowali panną. Jej samej nikt o zgodę nie pytał, żadnej z was przecie nie pytały o to. Bo niby po co? Tym razem jednak handel nie był w smak Cyganec, miała chłopca... W tajemnicy wymknęła się z domu do niego. A potem?

Trzej bracia siedzieli za stołem, obok ojciec i swaty, kiedy weszła do izby. Przerwali ucztę, wstał brat. Kurzyło mu się z czuba. Wyszedł do stajni. Wrócił z rzemiennym naszelnikiem od koni. W milczeniu zszedł nim siostrę przez plecy! Wstał drugi brat. Bez słowa uderzył ją pięścią w twarz! Ojciec tymczasem syczał przez zwarte szczęki: bij! Podbiegła matka bronić dziewczynę. Wtedy wstał ojciec. Oberwał się i matce kuladłem w zęby! Na drugi dzień musiała dziewczyna jechać do ginekologa. Ojciec powiedział:

— Masz mi przywieźć zaświadczenie, żeś jeszcze nie tknięta. Jak będzie inaczej, to cię zatuszuję jak psa...

Wy się nawet nie dziwicie Cyganowi, prawda? Chciał sprzedać dobry towar. Taki jest nasz zakon — tłumaczycie z rezygnacją. A czyście nie pomyślały przypadkiem, że głupi jest zakon, który rzuca w was na kolana, tłamsi szeszmaca, zamienia w zwyczajne wycieruchy? Bo wy tylko dla chleba jesteście cwane, ale faktycznie to nie innego, jak lekkie niewolnice. Lęk nieustannie wyskakuje z waszych oczu, nie trzeba głęboko w nie zaglądać, żeby go wyłuskać stamtąd nieczym cieniem zranionej nogi. Co drugi wasz życiorys ocieka łzami, a wy mówicie: kamlipen!

Było to jeszcze w lesie. Cyganka nazywała się Cehindy. Znać ją, nie tak znowu wiele Cyganek nazywają Cehindy. Mąż kupił ją za duże pieniądze. W jej urodzie było coś z bliskotki. Drogo kosztują prawdziwe bliskotki, to wiecie. Cygan zrobił zresztą niezły interes, jako że Cehindy umiała niezłe zarabiać. Sam był pijaczyną też dla was nie nowość. Bił ją żonę, a temu nikt w taborze już się nie dziwił, takie są zwyczaje. Za co bił? Za to, że wróciła zmęczona, że oprócz pieniędzy nie przyniosła wódki, że słonina to nie kiełbasa, że zaszło słońce a jeszcze powinno świecić i tak dalej. Jej losy opowie-

wiedzcie, czemu nikt nie stanął w obronie Cehindy? Czemu nikt słowa nie powiedział? Nie miał prawa to także zakon. Mężowie mogą czynić z wami, co im tylko strzeli do głowy. Mogą was przegrać w karty, lupić co dzień ze skóry, taki jest zakon. Cyganec ktoś wprawdzie radził, żeby uciekła. Powtarzała:

— On mnie znajdzie i zabije!  
Niewiele możecie powiedzieć o miłości z przybrudzonych kart. Boć przecie wasze kamlipen nie znaczy właściwie nic.

— Jak długo Cyganki będą wróżyć? — poprosiliśmy Cygana, żeby odpowiedział.

— Aż wyjdzie zarządzenie, które im tego zabroni.

— Bez zarządzenia nie przestaną się ponizić?

— Chyba nie...  
Rozmyślał trochę, aż zebrał w głowie inne myśli:

— Wróżba nie może zaginać u starych Cyganek. One wróżyły i pragną nadal wróżyć. Natomiast młode Cyganki i Cyganie bardzo prędko przyzwyczajają się do życia normalnego. Wiedzą, co znaczy kino, radio, telewizja, pragną przystosować się do życia całej młodzieży. Można zobaczyć, jak młode Cyganki nie chcą wróżyć, ubierają się w krótkie spódnice, włosy noszą krótko strzyżone. Nie zwracają na to uwagi, że starzy Cyganie krzyczą i przeklinają.

Młodzi mają wreszcie po dziurki nosa egzotycznych karawan. Świat jest ciekawy, z lasu tego nie widać. Żeby świat poznać i cieszyć się nim, trzeba mieć dom, pracować, uczyć się także trzeba. Oto chodzi młodym, czyż nie tak? Ale przyzwyczajenie do normalnego życia — zdawałoby się, łatwa sprawa — wymaga przede wszystkim poprzeczenia starego porządku. Mimo wszystko, pierwszeństwo tu należy przyznać Cyganom.

Bunt? Ano chyba bunt! Zapewne każdy człowiek, jeśli ma w głowie wszystko dobrze ułożone, zapyta — czyż można nie chcieć normalnie żyć? Widocznie można. Jeden z dawnych taborowych wójtów, grzeczny i trochę nawet ocytany Cygan, dał nam niedawno przykład obrony tego nienormalnego życia. Jego zdaniem, bardzo mądrej i słusznej obrony:

— Ludzie dzielą się na zwyczajnych i dzikich — przekonywał. Zwierzęta też są dzikie i zwyczajne. Dzikich zwierząt nie da się tak na dobre oswoić. Dlatego żaden z nas nie przyzwyczajał się nigdy do takiego życia, jak inni ludzie. Cyganie zawsze byli dzicy i nigdy się nie zmienili, to teraz jak mogą to zrobić? Szkoda tylko, że rząd na darmo traci pieniądze. Nic z tego nie wyjdzie. Nam zawsze wystarczy las, świeże powietrze i nic więcej. Nie chcemy ani mieszkać, ani pomocy rządu...

Ejże! O co właściwie chodzi wielmożnemu Cyganowi? Pewnie o nic więcej, a jedynie o to, że utracił władzę i teraz nie ma widoków na jej odzyskanie, że wcześniej,

Do czego to podobne? — pytałimy siebie nawzajem.

Dostaliście mieszkania, proponują wam pracę, a wy bimbacie, trąbicie na nosie, do czego to podobne?

Obsiadły nas czarne wątpliwości, złość czaiła się pod skórą, ledwie ukrywana. Odpowiadali Cyganie:

— Myszki nikogo o to nie prosiły, czemu nie puszczą nas do lasu? Nie pozwalają wędrować, a jeść też nie chcą dawać. Do czego to podobne?

Opuszczaliśmy ręce bezradnie, nikt rozsądny nie chce dobrowolnie uciekać do lasu, czy oni potracili resztki rozumów? Przygryzaliśmy wargi w gniewie, aby nie chwycić za biczyko bata i nie lunąć po cygańsku przez środek zdrowych, zaczepnie uśmiechniętych twarzy. Rozdrażnieni staliśmy na przeciw siebie, gotowi do draki. Z jednej strony mieliśmy wozy leżące na ośiach bez kół, z drugiej był las. Podeszła wtedy Cyganka:

— Powołtuku panie, pójdą do pracy wszyscy, albo my kiedy od nich pójdziemy. A co sam chłop bez baby może?

I śmiała się głośno aż drgały jej piersi pod ciasno spiętą bluzką.

— Co tu gadać, dobry czas przyszedł, ciężki dla Cyganów, ale dobry. Trzeba tylko jeszcze trochę poczekać. U was panie, nerwy na wierzchu. Może i dobrze, bo tyle nerwów, co od ściany do progu, ale trzeba poczekać, cierpliwie... Nasza w tym głowa... Czy to teraz nie ma porządných Cyganów? Są. Z czasem wszyscy będą tacy...

Czyżby bunt był prawdą? Podnosicie nareszcie otłuczone plecy, bunt — nie innego, macie dość poniewierki, bydlęcego traktowania, padania twarzą w leśny mech, a to przecie jest bunt, jawne łamanie zakonu. Do czego to podobne? — zle słowa bulgoczą w gardlach wielu Cyganów. Oj, tak się nam wydaje że byłby bunt wielki, gdyby to było od razu możliwe. Ale cóż robić! Jak rzucić karty w ką, skoro mąż, ojciec, bracia — nie mają ciagle ochoty do pracy? Tradycja chce, żeby Cyganka dbała o pełny garnek. Dzieciom często smutniejszą oczy z głodu, niekiedy zjera je choroba, co robić, rzucić karty w ką? Mój Boże, nie ukrywając prawdy trzeba wyznać, że i wyście też nie licho przesiąkły łazikowaniem, choć wiadomo — nie ze szczerzej chęci. Na zle, bo przecie nie na dobre dziecię „chodźcie”, jeszcze zastrachane nieczystością swojej cygańskiej kobecości, pozornie cwane ale z lęku wciąż trochę posłuszne konającym prawom taboru. Złym prawom!

Mimo wszystko wygląda przecie na to, że wyście dobrze rozumiały czas rozstania z taborom. Jako czas wielkiej okazji. Dane jest wam prawo do własnego mieszkania i pracy, i nauki, a także prawo do ludzkiej miłości, bowiem to wszystko od dawna wam się należy.

Wasza w tym głowa, jak z tego skorzystacie...

Zdzisław Kazimierzuk



# Dziwna klasyfikacja i pewne zarządzenie

(Dokończenie ze str. 1)

two krakowskie ze 104 miejscowości, w tym 8 o charakterze międzynarodowym.

Natomiast najuboższe jest woj. lubelskie — zaledwie 19 sklasyfikowanych miejscowości, w tym rzeczywicie Lublin jako miasto o znaczeniu międzynarodowym. Co zdecydowało o takim awansie — nie wiadomo. Stare Miasto, polichromia we wciąż niedostępnej kaplicy zamkowej czy względnie najmniejsza ze wszystkich miast wojewódzkich liczba miejsc gastronomicznych? Autorzy dyskretnie milczą. Znaczenie międzynarodowe otrzymał, oczywiście, Kazimierz, natomiast Zamość ze swoim unikalnym w Polsce renesansowym średniowieczem, zakwalifikowany przez historyków sztuki do klasy „0” jeżeli chodzi o zabytki, musi się zadowolić etykietką „ogólnokrajową”. Wśród owych 19 miejscowości znalazła się również wioska Reblizant w pow. tomaszowskim, o której — ze wstydem przyznaję — nie dotychczas nie wiedziałem. I dopiero po długich poszukiwaniach dowiedziałem się, że na rzecze Szum jest tam kilkanaście wodospadów, z których żaden nie przekracza pół metra wysokości.

Z naszych czterech województw najbardziej zasobne okazało się rzeszowskie — 49 miejscowości, w tym tylko Łańcut zyskał, zdaniem autorów, rangę międzynarodową, a 20 miejscowości ogólnokrajową. Chociaż do Rymanowa Zdroju zjeżdżają ludzie nie tylko z całej Polski, ale i z zagranicy, uznano, że ma on znaczenie regionalne. Kieleccyza dorobiła się 45 sklasyfikowanych miejscowości, w tym jedynie Sandomierz zyskał rangę międzynarodową, a Czarnolas czy Obłęgorek musiały się zadowolić znaczeniem regionalnym. Wynika z tego, że ani nasi najlepsi poeci ani najlepsi prozaicy nie cieszą się uznaniem wśród warszawskich speców od turystyki. Wreszcie woj. białostockie ma 33 miejscowości, w tym tylko Augustów i Białowieżę poleca się turystom zagranicznym, krajowym zaś jedynie 4 miejscowości: sam Białystok, Elk, Stary Folwark i Suwałki. Cała reszta niech się smażą we własnym, wojewódzkim sosie.

Małe podsumowanie. Nasze cztery województwa zajmują łącznie 27,6 proc. powierzchni kraju, ale wśród sklasyfikowanych miejscowości mają tylko 19 proc., z tego miejscowości o znaczeniu międzynarodowym razem 6 czyli 12,2 proc., a o ogólnokrajowym 42 czyli 21 proc. Nie zamierzam tu toczyć wojny o zmianę klasyfikacji, chociaż kilka podanych wyżej przykładów dowodzi że ta klasyfikacja jest bardzo a bardzo dyskusyjna. Autorzy zapowiadają przeprowadzenie weryfikacji za kilka lat. Może więc warto już dzisiaj ową dosyć troškiliwie ukrywaną książeczkę uprzęstnieć tym wszystkim, którzy również — poza WKKFIT — są zainteresowani turystyką: historykom sztuki, etnografom, a nawet handlowcom? Niech dyskutują, niech wyciągają wnioski póki czas, póki nie ukaze się nowa, obowiązująca na kilka dalszych lat klasyfikacja.

Tyle jeżeli chodzi o jeden dziwny dokument. A teraz drugi, jeszcze bardziej dziwniejszy. Tu proszę mi wybaczyć nieco urzędowy, na wstępie, styl, ale trudno go było uniknąć. Ponadto proszę zwrócić uwagę na daty — jakie oszalałmijają szybkie tempo w produkowaniu różnych dokumentów.

Oto w grudniu 1961 r. ukazuje się pismo okólnie nr 245 Prezesa Rady Ministrów w sprawie ulg w stawkach czynszowych za lokale użytkowe. W oparciu o nie przedkładający GKKFIT 28 czerwca 1962 r. — „Już” po pół roku — wydaje pismo okólnie nr 4 do wojewódzkich KKFIT, aby „natychmiast” opracowały wykazy miejscowości, w których owe ulgi mają być zastosowane. Ministerstwo Gospodarki Komunalnej rozsyła do rad narodowych interpretację tego pisma okólnego dopiero 11 stycznia 1963 r. Prezydium WRN w Lublinie odpowiednia uchwałę dla województwa (nr 115) na wniosek WKKFIT podejmuje 13 maja 1964 r. (!) Lista obejmuje 43 miejscowości, w których handel i apteki

— w imię popierania turystyki — mają płacić połowę normalnych czynszów. Ale uchwała obowiązuje tylko do 31 grudnia 1963 r. Nikt o tym prekursyjnym terminie nie pamięta i dopiero gdy wydziały gospodarki komunalnej rad narodowych odmawiają dalszego udzielania zniżek — podnosi się krzyk. To, oczywiście, nikogo nie mobilizuje i do końca lipca 1966 r. WKKFIT nawet nie przedstawił projektu nowej uchwały. Ma to zrobić w sierpniu lub we wrześniu, a więc już po sezonie turystycznym. Czyli jeszcze jedna mustarda po obiedzie.

Jak więc widzimy, machina biurokratyczna kręci się wprawdzie uparcie ale niezwykłe wolno. Nie to jednak jest najdziwniejsze. Otóż wszystkie te zarządzenia, pisma okólnie i uchwały narodziły się w intencji rozwoju turystyki. Chodziło o to, aby handel i apteki, placąc tylko połowę komornego za wszystkie swoje lokale handlowe w określonych miejscowościach o charakterze turystycznym, zarabiała więcej. Ten zarobek miał pokryć niedobory, powstające w sezonowo uruchamianych punktach sprzedaży lub w tych które dla wygody turystów przedłużały swoją pracę poza normalne godziny. Tak więc władze z jednej strony sankcjonowały straty, powstające na marginesie turystyki — z drugiej stwarzały konkretne źródło pokrycia tych strat. Wydaje się nawet, że z pokątną nadwyżką, bo rok ma 12 miesięcy, a sezon turystyczny 2 do 4 miesięcy.

Tu trzeba dodać, że owe zniżki obejmują tylko miejscowości, które mają poniżej 10 tysięcy ludności. Dotyczy to m. in. 9 miast powiatowych w woj. lubelskim.

Tymczasem każdy z nas na turystycznej skórze może stwierdzić, że cel tych wszystkich zarządzeń nie został osiągnięty. Ani w Kazimierzu, ani w owych Reblizantach, ani w Betleu, ani w Kosobudach nie uruchamia się nic nadprogramowego dla turystów. A jeżeli w jednym chyba Janowcu w okresie letnim otwiera się kawiarenkę pod wielkim dębem na wysokim stoku nad Wisłą — to nikt tu nikomu czynszu nie płaci, bo nawet nie wiadomo, do kogo ten nieużytek należy. Czy z tytułu owej obniżki chociaż jeden sklep jakiegokolwiek Spółdzielni jest otwarty dłużej niż zwykle, nieco lepiej zaopatrzony, obsługiwany przez bardziej uprzejmą ekspedientkę?

Powie ktoś, że na tej całej kombinacji z obniżonym czynszem tracą rady narodowe więc nie dziwne, że o sprawę nie dbają. Ale przecież nie tracą, a mogłyby zarobić. Po pierwsze: tylko część lokali handlowych należy do rad. Po drugie: tracą bezpośrednio na czynszach, ale zarabiają — a przynajmniej powinny zarabiać — dodatkowo na zwiększonych obrotach. Koszty w handlu są o ten czynsz mniejsze, a zyski dzięki nowym punktom lub przedłużonym godzinom pracy powinny być większe. Ale nie są dlatego, że tych zysków nikt ani w handlu, ani w aptekach, ani w radach osobno nie oblicza. Straty rad są widoczne, dodatkowe zyski handlu toną w jednym worku z normalnymi zyskami. A centralne władze handlowe, dając bardzo skromne środki na inwestycje czy okrojone etaty, mówią: niech dodadzą rady narodowe. Rady odpowiadają, że nie nie zarabiają a tracą, środki więc płyną na pokrycie innych wydatków, których nigdy nie brakuje. Prawdziwa kwadratura koła.

I rezultat jest taki, że na całej akcji nic, dosłownie nic, nie zyskuje ani pojedynczy turysta, ani turystyka jako całość. Więc chyba trzeba sprzeczyć nie tylko usługi, ale i obowiązki. A wypełnienie ich cbarować tak, aby nie opłacało się pracować tylko na zyski — i to nadmierne. Niezależnie od tego, przez kogo i na jakim koncie są one księgowane.

Jerzy Dostatni

W Szwajcarii i we Francji

## UDANA PODRÓŻ

Z NANY, amatorski regionalny Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej powrócił w lipcu z kolejnego zagranicznego tournée. Pół setki dźwięczną i chłopców, specjalizujących się w tańcach i piosenkach ludowych z regionu lubelskiego... Zespół istnieje od 18 lat. Początkowo działał jako Teatr Młodego Widza, a czasem przekształcił się w zespół taneczno-chórny Związku Zawodowców Pracowników Państwowych i Społecznych, obecnie działa na zasadzie stowarzyszenia. Jest laureatem wielu nagród. W ciągu kilkunastu lat dał około dwóch tysięcy występów w kraju, wiele razy wyjeżdżał za granicę. W 1959 roku podczas festiwalu amatorskich zespołów regionalnych w Agrigento na Sycylii zajął pierwsze miejsce. Ostatnio lubelscy amatorzy dali szereg występów w Szwajcarii i w południowej Francji. Nie dotarli jeszcze do nas recenzje prasy francuskiej i szwajcarskiej z występów Zespołu Pieśni i Tańca z Lublina, zdążyliśmy już natomiast przeczytać bardzo przychylnie, obszerne notatki zapowiadające jego występy. Wkradły się zresztą do nich tu i ówdzie mile nieścisłości. Na przykład „Journal de Genève” prezentując zespół stwierdza, że pochodzi on z miasta Lublina, które zawsze było... metropolią artystyczną Polski (!). Zaskoczeni w przyjemny sposób taką reklamą, natychmiast po powrocie młodych artystów do Lublina, zwróciliśmy się do kierowniczk i założycielki Zespołu p. Wandy Kaniorowej z prośbą o udzielenie wywiadu.

— Był to już nasz jedenasty wyjazd za granicę, w tym czwarty do krajów zachodnich. Występowaliśmy m. in. w Związku Radzieckim, Czechosłowacji, Francji, Włoszech, a teraz w Szwajcarii i znowu we Francji. W ostatniej chwili zdążyliśmy do Lublina na Święto Lipcowe. Zresztą tylko dlatego, że naszą podróż odbyliśmy samolotem. Po raz pierwszy zrezygnowaliśmy z własnego autokaru. Czasu mieliś-

my mało, a odległości, które trzeba było pokonać — ogromne.

— W ogóle obecny wyjazd zespołu był chyba trochę nietypowy, mniej „nasycony” imprezami niż wiele poprzednich, jak na przykład wyjazdy do północnej i południowej Francji?

— Tym razem wyjechaliśmy do Szwajcarii na specjalne zaproszenie jednego z tamtejszych zespołów regionalnych. Zespół ów nosi nazwę „Le Feuillu”, ma swoją siedzibę w podgórskim miasteczku Plan les Ouates, stara się oddać od zapomnienia stare ludowe pieśni i tańce szwajcarskie. Nie jest to zespół typowo młodzieżowy, jak nasz. Należą do niego także ludzie starsi, rekrutujący się z bardzo różnych zawodów i ugrupowań społecznych. W chórze śpiewa także sam młody miasteczko. Tuż po naszym powrocie do Polski zjechał „Le Feuillu” do Lublina i, jak wiadomo, dał szereg występów w naszym województwie. Tym razem byliśmy więc z granicą na zasadzie wymiany kulturalnej, co wcale nie znaczy, że próbowaliśmy w Szwajcarii. Prawie codziennie dawaliśmy występy.

— Jak Was przyjęło Plan les Ouates?

— Fenomenalnie. Niezwykle przyjaźnie. Byliśmy zupełnie zaskoczeni. Nasz przyjazd stał się naszym miejscowym świętem. Witana nas specjalna delegacja miejska, grała orkiestra, były motyły, wiozoty, girlandy, sztandary, okrzyki: „Vive la Pologne!” itd. Wreszcie uformował się pochód, który przebiegał ulicami miasteczka. Organizacja naszego pobytu — doskonała. Mieszkalismy w prywatnych kwaterekach, po okolicy poruszaliśmy się autami oddanymi do dyspozycji zespołu. Nasze występy były małą manifestacją polskiego regionalizmu. Tym razem bowiem program został tak ułożony, że poza tańcami i piosenkami lubelskimi dawał także przegląd najbardziej charakterystycznych melodii i tańców ludowych całej Polski. Występy zaczęliśmy oczywiście od Plan les Ouates. I zaraz na wstępie przydarzyła się za-

ważna historia: z okazji naszego przyjazdu odwołano cały miejscowy dom kultury. Byliśmy wzywani, po chwili jednak wypadliśmy w popioły. Okazało się, że w renowacyjnym zapale gospodarze pomalowali całą scenę bardzo ciemnym lakierem. Zespół nie mógł tańczyć. Podczas próby party tanecznej przetrwały się, jakby to nie była podoba sceny, tylko tafla lodowiska. Biedni Szwajcarzy przez całą noc cyklizowali scenę, musieli sprzągnąć zresztą specjalną maszynę, bo to był jakiś lakier „na specjalną okazję”. W Plan les Ouates mieszkalismy od 3 do 7 lipca. Poem wyjechaliśmy na jedenaste dni do Francji...

— ...aby wziąć udział w międzynarodowym festiwalu folklorystycznym?

— W pięciu festiwalach w miejscowościach: Orange, Vaillon i Romaine, w Marsylii, Nicei i w Cannes. Festiwal w Nicei był najbardziej i najbardziej skomplikowany. Spotkały się zespoły reprezentujące siedemnaście narodowości. Festiwal w Nicei trwał cztery dni i był prowadzony systemem eliminacyjnym. Nie było w tym festiwalu punktowanych miejsc ani specjalnych nagród dla najlepszych, ale rozumiałe, że najlepsze były te zespoły, które pozostały na scenie przez wszystkie cztery dni. W ich gronie znalazł się także nasz, jedyny zresztą zespół z Polski. Nasze piosenki i tańce bardzo się podobały. Na marginesie dodam, że bilety na festiwalowe imprezy były bardzo drogie. Szczególnie w halu Festiwalowym w Cannes, gdzie ich cena dochodziła do 45 franków, tj. ok. 9 dolarów.

— Wreszcie, występy przed publicznością geneńską?

— W Genewie daliśmy dwa występy: 20 i 21 lipca. Mieliśmy na widowni komplety i rzędną braucę po oberkach, krakowiakach i mazurach.

— Jakie plany na przyszłość?

— Opracowanie nowego, jeszcze lepszego programu. Choć do parętki „Olimpij” na razie się nie wybieramy...

— To może chociaż na podbój nowego kontynentu?

— Przecież dopiero wróciliśmy do Polski i mamy sporo do odrobienia na miejscu!

Rozmawiał:  
Miroslaw Derecki

## książki • książki • książki

### Opowieści zasłyszane

T AK się składa, że znam dobrane, od dzieciństwa, okolice poetyckie autora „Wieczorów na Łysej Górze”. Z książkami Józefa Ogi-Michałskiego zetknąłem się jakieś dwadzieścia lat temu we wsi na południowym stoku Łysej, jest to wieś w „Wieczorach” wspomniana. O autorze książki już się tam mówiło, czytano się jego zbiorek „Lysica gwarzy”, który Ogi-Michałski wydał przed wojną, jako 13-letni bodaj absolwent kieleckiego gimnazjum. „Lysica gwarzy” to prawie żywym zapisane gadki świętokrzyskie, opowiedane przez starych ludzi w Bielnicach, Porąbkach czy Kakaninie. Z książką gadki te wkradły do źródła, upowzechniały się i krążyły, powtarzane na nowo i czytane przy zimowych wielkich zajeżdżach. Była w tych opowieściach wielka żywiołowość, dosadność, a przy tym fantazja i prawdziwy wielki humor sytuacyjny.

Nie słęgam do tych wspomnień daremnie. Wyjąłem mi się, że „Wieczory na Łysej Górze” tkwią swoimi korzeniami w tamtej młodzieńczej książeczce. Odwołuję się do owych wspomnień po to, aby stwierdzić, że siła pisarstwa Józefa Ogi-Michałskiego polega na niesłychanie bliskim związku z głębią rodzinnych okolic. Wprowadzając do swoich gawęd prawdziwe postacie, nazwiska czy miejscowości, przenosi wraz z nimi całe bogactwo „odchodzące w przeszłość” dawnej świętokrzyskiej wsi, jest tam naturalnie i ciemno, z zabobonem, ale przede wszystkim wielką barwnością życia gromadnego i rodzinnego, ustalona obyczajowo i niepodważalna chłopskiej myśli, niezależność tak od pana, jak i od plebana.

Opowiadania Ogi-Michałskiego, zawarte w imieniu „Wieczory na Łysej Górze” wywodzą się więc z gadki ludowej. Przedmiotem ich są zdarzenia drobne, zwykłe, ale poprzez zbieg wypadków i niezwykłą sceneryjną urastają i zwiększają swój wymiar. Autor chętnie korzysta z nastroju nocy, często osnawia wątek wokół czyjeś śmierci i obrządku pogrzebowego. Wywołanie niesamowitego nastroju przychodzi więc bez trudu. Tym łatwiej zresztą, że bohaterowie opowieści są ludźmi, dla których wiara w ziele duchy, czarownice i czary stanowił chleb powszedni. Jesteśmy wszak w pobliżu Łysej Góry. Kapitałnie wykorzystuje to autor choćby w „Opowiadaniu o moim dziadku”.

Ogi-Michałski opowiada więc przede wszystkim o wsi przeszłej, tej, która gorzko-ciekawie starała się zapisać i utrwalic etnograficznie, zanim nie rozpływa się całkowicie. O świecie gmiłano-parafialnym, prowadzącym swoje własne, niezależne od nikogo bytowanie. Stary ludzki, książę, gajowy, odpustowy dziad, wójt, organista, szlachecka ziemiańska — oto bohaterowie. Jest to więc jakby bieszczadzka, wyizolowana, żyjąca swoimi sprawami, wyizolowana, żyjąca swoimi sprawami. Niektóre z nich zostały przedstawione wstrząsająco, jak w „Hraciach” — opowieści o wiejskim Kainie i Abiu. Oczywiście, obraz społeczność wiejskiej „zarysowany w „Wieczorach na

Łysej Górze”, nie jest traktowany całkiem serio. Narrator wyraźnie odcina się i dystansuje od niego, często daje cudziystwo, robi do czytelnika oko. Stąd może przejawianie sytuacji komicznych, rubaszność humoru, niesprecyzne zresztą z postyką ludowej gawędy.

Pod koniec tomu na obraz dawnej wsi nakłada się nowy jej wizerunek. Dokonuje się przekrok w czasie (w wioskach opowiadane nie ma prawie żadnych nawiązań do wojny), pojawiają się nowe sprawy i nowi ludzie, takie ci, którzy wyjeżdżają z niej w czasach wielkiej migracji, powracają tylko na święta czy rodzinne uroczystości. Zarysowują się konflikty pokoleń, doświadczenie zresztą likwidowane, bowiem chłopska trzeźwość i kalkulacja każe przyjąć i akceptować to, co na wieś przyniosła rewolucja. Wiesz sama zresztą zbryzła opłotki odgradzające ją od świata, ona sama ku niemu wyszła.

Przyznam na koniec, że książka Ogi-Michałskiego należy do ciekawszych, jakie ostatnio przeczytałem. Jest w niej autentyczny humor, niejasne i ludzi, wiele prawdziwego humoru, z którym idzie w parze pogoda i żywej wyrozumiałości wobec ludzi. A w czasach, kiedy jednym z zajęć literatury jest zniechęcanie się nad człowiekiem — to ujmuję i znacząco bardzo dużo.

Opowiadania Waldemara Babinięza, zawarte w tomie „Ludzie to powiedzieli”, przenoszą nas w inne strony, do nieco odmiennych problemów. Tytuł bardzo trafnie określa pewne znamiona pisarstwa autora „Listów z paradaj”. Niektóre jego utwory można nazwać „opowieściami zasłyszany”, sprawiły bowiem wrażenie, jakby były tylko przez pisarza zaprojektowane i dopiero w opracowaniu poddane retuszowi. Wiąże się to ściśle z reportażowo-publicystycznym nachyleniem prozy Babinięza. Piszący o jego książkach czynili mi niekiedy z tego powodu zarzuty, widzieli w publicystycznym charakterze jego książek pisarskie uchybienie. Sądzę, że Babinięza, przebiegając obok takich głosów obójtnie, dobrze uczynił. Wiedział, że pogardliwe reportaży i opowiadania, to jego właściwy obszar i wierność temu stanowi warunek pisarskich sukcesów. Przykładem — „Listy z paradaj”.

Obecny tom potwierdza wszystkie walory i cennie prozy Babinięza. Ciesze grupowane są przede wszystkim w „Braterskim postanowieniu”, utworze układowym w formie epistoloidalnej, wypowiedzi bohatera, Stylizowana przesada, żargonowe naciąganie i wielkie uprzączenie spraw są tu nie do zniesienia. Ale to przykład krótkowy. Pozostałe opowiadania w ciekawy sposób podejmują rozmaite problemy współczesności. Proza Babinięza ma pod tym względem często sensu diagnostyczny. Autor umie bowiem patrzeć na świat, potrafi szybko obserwować i wyznaczyć to, co dopiero kiełkuje, trafnie zauważa nowe słajki. Zmusza więc do myślenia, stawiając sprawy drażliwe, których przemienianie

szkodliwe jest dla wszystkich zainteresowanych. W „Dezertersze” znalazł się w polu widzenia problem szkoły, zwłaszcza stosunków między nauczycielem a uczniem. Wprawdzie dezertersze to szkole, ukazane przez Babinięza, nie ma istotnych powodów do ucieczki, ale fakt ten staje się pretekstem do ujawnienia pewnych słabości szkoły, dwulicowości niektórych nauczycieli, objętości wobec ucznia, formalnego traktowania narzniętych problemów. Autor zdaje sobie zapewne sprawę z paradoksu tego opowiadania o sprawach szkolnych, w którym przedstawia pozytywnym bohaterem jest jeden z takich dawnych uczeniów ze szkoły, samotnik — filozof i socjolog — amator w jednej osobie, który spisuje biografie różnych dezertersów, młodych ludzi skłóconych ze szkołą, poróżnionych ze społeczeństwem. Programu naprawy autor — rzecz jasna — nie przedstawia. Czytelnik może sobie sam wnioski wyprowadzić. Rzecz jasna autor jest nie innego, jak skłonny czytelnik do zamyslenia i refleksji.

Następne opowiadanie — „Bilizej teatru” i „Wybory w gromadzie” ukazują wielki awans cywilizacyjny wsi. Pierwszy utwor stanowi jakby ilustrację spularyzowanego ostatnio hasła: wiesz bliżej teatru, przedstawiając perypetie wielkiego chłopaka, który zakochuje się w aktorce występującej w przedstawieniu na terenie wsi. Perypetie scenowe kończą się zrozumiałym przez bohatera odrobinie dziecinny sztuki i lyryki, pozostaje jednak przyjaźń z teatrem, a i to jest zysk nie do pogardzenia. Przygody Tadeusza Mierniczka rozegrał autor nie na wyizolowanym terenie; przeciwnie, jest ten bohater jednym z aktywnych grupy młodych, którzy pragną przyspieszenia przemian na wsi i podniesienia własnymi rękami życia wsi na wyższe piętro cywilizacji. Jesteże jasno widać to na przykładzie utworu „Wybory w gromadzie”, gdzie solidarna działająca młodzież dwóch wiosek prowadzi do tej pory wsi, kładzie kres wrogoci i wąsłom, a zaczyna się okres zgodnej współpracy.

Babinięza stawia więc na młode pokolenie, jak przystało na wytrawnego pedagoga i doświadczonego dyrektora Uniwersytetu Ludowego w Rottwiey. Podniósł to zresztą nie po raz pierwszy. Podniósł też autor szeroki krąg problemów, ukazując w utworze tytułowym dramata starego i zasłużonego człowieka, którego nagłe odejście się z funkcji kierowniczej bez podania istotnych motywów. Bohater buntuje się nie przeciw samemu faktowi, ile sposobowi, w jaki nastąpiło dokonane. Protestuje przeciw krzywdzie niezawiniętej.

Proza Babinięza świadczy więc dobrze o jego wrażliwości pisarskiej i umiejętności ostrego patrzenia na rzeczywistość. Książka przeto do politycznych zamysłów, poszerza pole widzenia. Jeśli w przyszłych książkach autor pogłębi widzenie świata, wzbogaci jego barwy oraz wykształci rysunek spraw i ludzi, jeszcze bardziej interesujących.

Tadeusz Klak

Józef Ogi-Michałski: Wieczory na Łysej Górze. Wyd. Lubelskie 1961, s. 308.  
Waldemar Babinięza: Ludzie to powiedzieli. Wyd. Lubelskie 1960, s. 139.



# od BIEBRZY NO BIESZCZADY

## BIAŁYSTOK

◆ Plenum KP PZPR w Augustowie obradowało nad rozwojem turystyki i sportu w tym pięknym porze. Powołano komisję partyjną do opracowania perspektywicznego planu turystycznego rozwoju powiatu augustowskiego.

◆ W klubie MPiK odbyła się wystawa warszawskiego plastyka Mieczysława Majewskiego. Reprezentuje starsze pokolenie, ale wciąż szuka nowych form.

◆ Amatorski zespół teatralny z Kleszczel, pow. hajnowski, zajął pierwsze miejsce na międzywojewódzkich eliminacjach zespołów ukraińskich, które odbyły się w Węgorzewie, a następnie na ogólnopolskim przeglądzie w Przemysku. Zespołem kieruje Sławomir Misiejak.

◆ Białostocka Spółdzielnia Mieszkańców przystąpiła do organizowania własnym sumptem społecznego ogniska muzycznego Lokal i Instrumenty już są, teraz przynajmniej się zgłoszenia. Brawo BSM!

## KIELCE

◆ Oddział PTTK w Starachowicach ogłosił konkurs dla amatorów-plastyków na projekt znaczka XIII Ogólnopolskiego Rajdu Świętokrzyskiego.

◆ Przy odwieci żelwa „Niektani” w Stąporkowie istnieją cztery zespoły artystyczne, kilka plastyczne i kursy języków obcych.

◆ Za najlepszy klub wiejski w województwie uznano klub Rolnika w Koprzywnicy pow. Sandomierz. Ten sukces należy zawdzięczać przede wszystkim społecznej radzie klubu. W ostatnim półroczu zorganizowano tu m. in. 100 spotkań z ciekawymi ludźmi.

◆ W Woj. Domu Kultury otwarto wystawę „Stare i nowe Kielce”. Ma to być początek cyklu wystaw o historii miasta. Organizatorzy poszukują do reprodukcji starych dokumentów, sstrychów, pocztówek itp.

◆ Radomski klub Relaks wystawił nowy program „Wycieczki po Kielecczyźnie” o charakterze raczej satyrycznym. Ponieważ w podobnych programach specjalizuje się także klub Yeti, można spodziewać się, że współzawodnictwo spowoduje dalszy rozwój obu placówek.

◆ W klubie MPiK w Kielcach była wystawa współczesnej plastiki użytkowej.

## LUBLIN

◆ 48 studentów z Anglii, Francji, Holandii, Szwecji, USA i Szwajcarii przebywało na Międzynarodowym Obozie Pracy Społecznej w Lublinie. Od skróconej nazwy MOPS uczestników nazywano doobrotliwie mopsami.

◆ W Uchańce pod Dubienką odrestaurowano kopiec Kościuski, usypany tam w 1861 r. na cześć pamiętnej bitwy wojsk T. Kościuszki. Równocześnie oddano do użytku piękną szkołę podstawową im. Bractwa Broni Wojska Polskiego i Radzieckiego — w tym rejonie 21 lipca 1944 r. przesył przez Bug pierwsze oddziały radzieckie i polskie.

◆ Z 388 klubów Ruchu i Rolnika w województwie za najlepszy uznano klub Ruchu w Pałkicach pow. bełżycki.

◆ 21 lipca wystąpił z koncertem w Lublinie szwajcarski zespół folklorystyczny Le Feuillu. Był to rewanż za koncerty zespołu lubelskiego w Szwajcarii. O występie napiszemy osobno.

◆ W drugiej połowie lipca przebywała w województwie 18-osobowa grupa aktorów teatru lałkowego z Wologradu z dyr. Arnoldem Raszewskim na czele. Goście dali bezinteresownie kilka przedstawień dla dzieci oraz zaprosili zespół teatru lałkowego z Lublina.

◆ 20 lipca niemal cały program radiowy Warszawy II był transmitowany z Lublina. Lubelscy dziennikarze zaprezentowali m. in. bogaty dorobek kulturalny województwa, występowały miejscowe zespoły i orkiestry.

## RZESZÓW

◆ Muzeum Marii Konopnickiej w dworku w Zarnowcu pow. Krośno cieszy się szybko wrastającym zainteresowaniem wśród turystów. W samym tylko czerwcu br. było ponad 10 tys. zwiedzających.

◆ Red. Helena Wiśniewska z „Nowin Rzeszowskich” za liczne publikacje oraz skuteczne interwencje otrzymała dyplom uznania oraz „Złotą odznakę honorową Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej”.

◆ W dniach 19 i 20 lipca Rymanów. Odbyła się sesja popularno-naukowa na temat leczenia chorób dzierzycy. Otwarto wystawę fotograficzną, był koncert, występy zespołów artystycznych itp.

# Czego oczekują „Azoty”?

(Dokończenie ze str. 3)

lagodnego, naturalnego z okolic Kazimierza oraz pełnego dynamiki pejzażu Zakładów Azotowych. Obydwa, jak sądzę, określają charakter przyszłej galerii.

25-lecie wyzwolenia Puław i forsowania Wisły przez Armię Czerwoną i Wojsko Polskie pragniemy upamiętnić trwałym akcentem rzeźbiarskim, symbolizującym historyczne wydarzenia.

W dalszej perspektywie widzę współpracę z plastykami przy ostatecznej „kosmetyce” zakładu. Nie chodzi w tym wypadku o projekt kolorystyczny, ponieważ jestem zdania, że najlepszy, najbardziej odpowiedni „kolor” mają materiały, z których zbudowano fabrykę: szara silikatowa cegła i beton, srebrny i pokryty czernią metal. Nie mniej pomoc plastyków będzie nieodzowna.

# Znakomita inicjatywa

(Dokończenie ze str. 3)

teriali w plastyce, zastosowanie teorii informacji w badaniach sztuki, wartości poznawcze sztuki...

— Wspomniane hasło porusza pytanie o przyszłość sztuki. Czy utraci ona kiedyś całkowicie motyw figuralny, wątki bezpośrednio ludzkie?

— Nie wierzę w eliminację żadnego wątku w sztuce, ani w zwycięstwo jakiegokolwiek kierunku. W przyszłości sztuka zapewne nie raz przedstawi nam wartości nieoczekiwane, zaskakujące, gdyż jest zjawiskiem dynamicznym, rozwijającym się na kanwie ogólnego postępu cywilizacji. Co przetrwa? Na pewno dzieła wielkich twórców, bez względu na kierunki; dzieła Pollocka nie straciły na artystycznej aktualności pomimo, że o informelu, do niedawna dominującej tendencji, dziś się w ogóle nie mówi.

— Powróćmy jeszcze do Biennale w Wenecji. Czy wyróżnienia honorowe przyznane tam H. Stażewskiemu i Juanowi Genovesie oraz Grand Prix w dziedzinie malarstwa dla Julio de Parca z „Grupy Poszukiwań Sztuki Wizualnej” i pierwsza nagroda Ikedy za grafikę — są wyrazem i stwierdzeniem dwóch głównych nurtów współczesnej plastyki: jednego, zmierzającego w kierunku wartości ikonograficznych, w jakimś sensie moralnych, i drugiego,

zainteresowanego głównie sprawami formy, przestrzeni i światła?

— Niewątpliwie te dwa nurty istnieją obok siebie i reprezentują każdy z osobna, odrębne wartości. Pomimo zewnętrznych różnic są one pokrewne, bo odpowiadają na różne zagadnienia współczesnego życia.

— Pana, jako dyrektora Muzeum Sztuki w Łodzi, które jak wiadomo posiada jedyną w Polsce działą międzynarodowej sztuki nowoczesnej, realizację puławską będą interesowały także ze względów, powiedzmy, praktycznych.

— Oczywiście, jestem zainteresowany efektami artystycznymi Puław i sądzę, że znajdą się na pewno takie, które chciałbym przyjąć do muzeum. „Azoty” będą miały jednak pierwszeństwo.

Rozmawiał:

Ireneusz J. Kamiński

# Odpowiedzi Redakcji

E. N. w Lublinie. Była Pani powodem niezadowolonego wypadku, ponieważ skłoniła do napisania „Początków” niespodziewanej smutnej napisała Pani: „Dopiero co świat ponownie, tyś się zawiązał, że tu, w Warszawie, kocha życie nadejście dziś. Pełen młodzieńczej potęgą nad rzekę ponosił Cię wiatr. W murach zdradliwej rzeki bębnem oddałeś swe życie — jak barł. Załzy mi z oczu odzyskał, że spotkał nie uda mi się Twego uśmiechu i miłodejności, co rzeka pochłonięła na wieki”. Spemniamy Pani prośbę o druk, ale przytoczone wyżej zdania jeszcze nie są poezją.

R. W. w Chórzyszach. Prosi Pani o ocenę swoich wierszy. Nie należy one do utworów grafomanów, które w zaskakująco licznie nadchodzą do redakcji. Stawiamy więc pytanie, czy wiersz „Powrót”. Niech Pani jednak nie nadsyła jak gorliwie poetów Młodej Polski, ale szuka własnej drogi. Na pewno będzie ona trudniejsza, ale, sądzimy, że stać Pana na więcej niż kopiowanie.

M. W. w Białymstoku. Pana „Wariacje kontrasty”: „Jak czarne tąpnięcie z czerwonymi liśmi Mast paznokcie. Z pitnikiem się obchodzisz, jak ze złotym ostrzem szpady pikadora. Polski maso, o właśnie, jak zielonocieńka zebra wydobycie z ziemi z tyśwą czaszka, szerniła na wierzchu. A nogi bez stóp są jak czarne psy w rucie łaty ze złocistą sierścią. Galki czarne jak białe serca kołcem kaktusa przebieła. No a w ogóle fo chodzisz, jak Murzyn tańczący na Zwrotniku Raka kankas”. W liście do redakcji nadmieniamy Pan, że jest „poeta-atomem”. Nie ma takiego pojęcia. Można być poetą, można być grafomanem, można również być w tym tylko poetą. Nie wydaje się nam, aby „Wariacje kontrasty” i inne Pana utwory świadczyły, że by w a Pan poetą. Ale nie zawsze ze Zwrotnika Raka musi się zabiłżeć na Parnas!

A. S. w Nowej Soli. Prosi Pan, aby redakcja „w najszybszym czasie” odpowiedziała, czy „z takim piórem można ubiegać się o debiut w „Kamieniu”. Sam Pan sobie odpowiada w wierszu: „Ryć burza słow, gromem końców dzieciństwa dzień brak mi dziecięcych słów, młodych słów”. Właśnie

# Seminarium pod kasztanem

(Dokończenie ze str. 5)

po wielu, wielu latach odbywał się walny zjazd Polskiego Towarzystwa Filologicznego w Krakowie w r. 1948 i w imieniu środowiska lubelskiego składałam sprawozdanie, podzielił do mnie Gustaw Przychocki, ówczesny prezes Towarzystwa, bardzo już schorowany i zmęczony. Powiedział z kłiwym uśmiechem:

— Mówi pani, że zrobiło się to, tamto, ale ja wiem, że to pani właściwie jest sercem i mózgiem swego środowiska. Moją uczniowie są zawsze tacy.

Gustaw Przychocki wychował wielkich uczonych w osobach Aleksandra Turyna, sławnego dziś profesora w Stanach Zjednoczonych, Władysława Strzeleckiego, największego w Polsce znawcę literatury i metryki rzymskiej — profesora UJ, Jerzego Manteuffla, zmarłego przedwcześnie papyrologa i specjalistę od epoki hellenistycznej, profesora UW; wychował też całą plejadę innych filologów, że wspomnę tu tylko swoje bezpośrednie kontakty z członkami seminarium lub starszymi kolegami doc. dr Marię Maykowską, dr Fanny Baumbergową, dr Zdzisławą Zmigrzydery-Konopkę, dr Gabriele Pianko, dr Karolinę Beylin, dr Aleksandrę Chodźko-Domaniewską, dr Stanisława Seligę. Pragnę tu wyróżnić szczególnie pamięcią dwoje najbardziej czołujących członków owego seminarium: dr Fanny Baumbergową i dr Zdzisławą Zmigrzydery-Konopkę. Ich błyskotliwa inteligencja mogła stać się rozkoszą nie tylko ludzi, lecz samych bogów olimpijskich. Poet i wyobraźnię łączyli z wielkim umiłowaniem i znajomością kultury antycznej. Zachwycali, porwali. Byli jak płomień.

Wspomnę z kolei członków „mojego” seminarium, tzn. tego, w którym uczestniczyłam. Oto ci, których pamięć moja jeszcze notuje: Bolesław Duszyński, Lidia Winnicką, Piotra Jędrasika, Adama Łukasika, Wacława Potemkowską. Seminarium zapełniały się, jedno wychodziło, drugie wchodziło. W ten sposób już przelotnie kolegowalałam z prof. dr W. Strzeleckim. A znowu między moim pokoleniem a starszym — łącznikiem był prof. dr Jerzy Manteuffel, ówczesny prezes zarządu Kola Klasyków.

Ale szkoła warszawska Gustawa Przychockiego trwała i jeszcze po wielu latach dała wiernych swjej dyscyplinie filologów. Specjalnością Przychockiego było uczenie studentów na formalne cechy dramatu i jego budowę. Po zdaniu Plauta każdy student selekcyjował automatycznie w czasie każdego przedstawienia teatralnego tok utworu: ekspozycję, zawiązanie węzła dramatycznego, intrygę, charakter, monolog, cantica itd. Jego szkoła metodyczna reprezentowała pewną koncepcję, która w nauce jest aktualna do dnia dzisiejszego, a nawet właściwie dopiero w świetle współczesnej estetyki i nauki o literaturze zyskuje właściwe uzasadnienie. Jest to koncepcja samodzielności literatury rzymskiej i jej faktycznej niezależności od literatury greckiej

Janina Pliszczyńska

# »KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje Kolegium: Konrad Biełski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski.

Przedstawiciele redakcji: BIAŁYSTOK — Stanisław Świerad („Gazeta Białostocka”), ul. Wesołowskiego 1, tel. 37-41, KIELCE — Tadeusz Bartosz („Słowo Ludu”), Plac Obrońców Stalingradu 2, tel. 82-28, RZESZÓW — Jan Grygiel („Nowiny Rzeszowskie”), ul. Żeromskiego 5, tel. 20-51.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Al. J. Reakawieckiego 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unieka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49

Zam. 2098, 18.VII.66, L-3

# W salach wystawowych

# PLASTYKA



Z festiwalu malarstwa w Szczecinie: Stefan Krygier — „Kompozycja II”, technika mieszana

SZCZECIN. Otwarty 15 lipca III Festiwal Współczesnego Malarstwa Polskiego prezentuje 411 prac 280 autorów, wśród których widzimy kilku artystów lubelskich: J. Durakiewicza, W. Filipiak, A. Jedlika, J. Kłeczka, A. Kolodziejka, Z. Kononowicza, J. Olejnickiego, A. Słykę i J. Ziemińskiego.

RZESZÓW. Niedawno otrzymaliśmy katalog, zawierający reprodukcje obrazów miejscowych artystów oraz wiersze członków rzeszowskiego Klubu Literackiego. Taką formą publikacji ma na celu zbliżenie środowisk twórczych Rzeszowa. „Oczywiście, o ile tego rodzaju wloty malarstwa i poezji będą mogły ukazywać się częściej i na coraz lepszym poziomie. Także walczyć o poetyckie i salach wystawowych Domu Sztuki i koncertu

muzyki kameralnej, które zamierza organizować Biuro Wystaw Artystycznych, służyć będą temu samemu zadaniu konfrontacji różnych dziedzin sztuki przed tym samym odbiorcą, rozszerzeniu zainteresowań artystycznych twórców i popularyzacji ich osiągnięć. Wtedy rzeszowski Dom Sztuki stanie się istotnie zgodne z nazwą ogniskiem skupiającym wielu rozproszonych miłośników muz w naszym mieście” — pisze J. Grygiel we wstępie do katalogu.

Wartość tej ciekawej inicjatywy jest bezsporna. Dlaczego więc plastycy przystępują do pierwszej konfrontacji — szczególnie ważnej dla wytworzenia klimatu wzajemnego zainteresowania — pokazując plótka tak przeciętne, że odbierające nawet ochotę do jakiegokolwiek dy-

kusji?! Widziałem tę wystawę, otwartą z okazji „Dni Rzeszowa”, i spostrzegłem tylko ślady dawnej energii i twórczej odwagi. Na szarym — choć bardzo „kolorystycznym” — tle wyróżniają się jedynie Alfred Kud, Barbara Smoczeńska i Zygmunt Czyż. Ten ostatni nie powiedział chyba ostatniego słowa.

LUBLIN. Od dłuższego czasu czynna w Muzeum na Zamku wystawa Józefa Pankiewicza daje dość dobrą (choć niepełną) orientację w zmiennej twórczości wybitnego artysty i pedagoga, który wraz z W. Podkowińskim wprowadził do Polski impresjonizm.

Pankiewicz urodził się w Lublinie, lecz do dziś nie ma tu ulicy jego imienia. Szkoda.

„Wystawa prac współczesnych malarzy polskich” pokazana w lipcu i sierpniu w sali BWA, to zestaw kilkudziesięciu obrazów, który od dłuższego czasu krąży po kraju. Informacyjny charakter ekspozycji, uwzględniającej obok siebie nazwiska Mikulskiego, Gepperta, Nowosielskiego, Rzepińskiego, Musiałowicza, Tchórzewskiego, Rudzkiej-Cybisowej i in. — adresu je ją przede wszystkim do młodzieży szkolnej i osób, które nawiązują pierwsze kontakty ze sztuką. Niezbyt więc trafny wydaje się termin otwarcia wystawy (wakacje, urlopy). Biuro Wystaw Artystycznych, uzależnione od zmiennych często decyzji centralnych, nie ponosi tu przecież żadnej winy.

Malowanki z Zallpia w pow. dąbrowskim, rozwieszane na ekranach w klubie MPiK, to trzecia godna uwagi wystawa lubelska, na której otwarcie, bardzo uroczyste, zaproszono jedną z autorek, Leokadię Kosiniak-Rycerzową, od kilku lat mieszkającą w Kraśniku Fabr.

Dekoracyjne i kolorowe malowidła, powtarzające zazwyczaj motywy stylizowanego kwiatu, zaspokoją najbardziej wyrafinowane gusta sympatyków folkloru. Komisarzem wystawy był Wiktor Ziółkowski.

WARSAWA. We wrześniu i październiku br. odbędzie się tu „Festiwal Sztuk Pięknych — Warszawa 1966”, impreza towarzysząca Kongresowi Kultury Polskiej. Obok ekspozycji malarstwa, rzeźby, grafiki i tkaniny, organizuje się równocześnie pierwszą w historii sztuki polskiej wystawę projektów konkretnych rozwiązań malarskich i rzeźbiarskich dla wybranych fragmentów stolicy („Propozycje dla Warszawy”).

Kam



Z ŻYCIA WZIĘTE

Cukier krzepi

KTO nie zna tego sloganu? Wymyślony przez Melchiora Wańkowicza...

ziemia — osuszmy łąki. Na konferencji w wojsku, kiedy masę niedouczonych kierowników...

kiędys masła, handel chciał spojrzeć na spożycie margaryny. Potrzebny był odpowiedni slogan...

PIECZ SWOJE DZIECKO OD NIESZCZESLIWEGO WYPADKU. Czy można się dźwiżyć, że wiele osób nie oglądało już filmu?

Prawdziwa rzadza reklamą, funkcjonalność słowa i odpowiedniość, zgodne z istniejącymi warunkami...

A tymczasem we Wrocławiu przeciw Domu Towarowym codziennie wleczaczem rozwłóciła się neon: USMIECH ZA USMIECH...

Sakoda, że nie wiedzą o tym ci, którzy próbują Wańkowicza naśladować. Niedawno jeden z Państwowych Domów Towarowych...

Na jeszcze oryginalniejszy sposób reklamy swoich usług wpadł PZU. Oto w okresie letnim we wszystkich kinach...

BAR

ANDRZEJ CIBA

Noenry romans

W ulicy Archaniołów posnęty latarnie, Ostatni fiakler truchtem do domu uciekał...

Krańnik

MINUTA MYŚLENIA

Jakieś locum

PRZECHYTANO, ale nie bezkrytycznie czytelnika gazet, jak w ogóle użytkownika mowy...

znacza powrotny oddów. Jaki ma związek rewanżowy wyścig wiolaczek z łowieniem ryb...

gdądnąć na jakiej zasadzie w liceach mnogiej zmienili się rodzaj tych rzeczowników. Czy „kosztują”, „gustują”...

ciwstać się przypadkowej i z nieznaności wynikającej „inwencji słowotwórczej”.

Ijon

WŁODZIMIERZ ŚCISŁOWSKI

Nasze nauki

Godzina szesnasta. I tramwaj. I flocek. Jak zając w tym tłoczku przemysłnie więc kluczę...

Fraszki

Chorąży — racjonalizator

Chociaż zalewa wciąż go pot (Już nieraz pod drzewcem padł!)

O kukłach

Nie boją się upadku kukły — sklejają je zaraz, choć się stłukły.

KSIĄŻKI NADESŁANE

- „Czytelnik” Tadeusz Urgacz — Remy, poezje, Warszawa 1966, wydanie I; Maria Jarchowska — Niemilosierni, Warszawa 1966, wydanie II;

Jacek

„PIW”

- Franz Werfel — Śmierć drobniejszczanina, przełożyła Edda Werfel, Warszawa 1966, wydanie I; Leopold Lewin — Na mojej ziemi, wiersze, Warszawa 1966, wydanie I;

BIG-BEAT

Cud po olecku

PANIE Redaktorze! W poprzedniej „Kamieniu” ukazał się felieton Pana BAR-a pt. „Podróże kształcą”...

nował ją na Margrabowo, ale ludek polski nadal nazwał je Oleckiem. W 1923 r. — co było świadectwem germanizacji...

formuje, że nad tym sklepem patronat sprawuje hurtownia w Elku. Od kiedy to hurtownie sprawują patronat?

et starszy i z brzuskiem robi z siebie speca od młodzieży. Bracia, on już sam się do nas zalicza...

NOTY

„TRZEBA SPILMOWAĆ TRYLOGIE! Jest to jeden z naszych obowiązków narodowych, podobnie jak regulacja Wisły...”

„PODRÓŻE ZAWSZE KSZTAŁCĄ. Stwierdził to na własnej skórze Włodzimierz Krzemieński...”

„ALE GDY STUKNIE DZIESIĘCIE ŻYCIE JUŻ NIE POPIESCI!” — filozofuje autor młodzieżowej piosenki „Naście lat”...

NIEOCENIONA PAP donosiła, że w Szczecinie w dębowych beczkach dojrzała pierwsza partia polskiej whisky...

A JEDNAK NASZA BIUROKRACJA odnosi wciąż nowe sukcesy. Jak donosi kielecki „Słowo Ludu”...

BIAŁOSTOCKIE słynęło dotychczas z żubrów. Jak tak dalej pójdzie, w Białowieży trzeba będzie uznać rezerwat dla inów...

TA ODWAGA ZASŁUGUJE NA WYROZNIENIE. W szpitalu wojewódzkim w Rzeszowie uformował się zespół...

TELEWIZYJNI SPRAWOZDAWCY z pilkarskich mistrzostw świata znów wzbogacili język ojczysty...

(d)